



Lewica pęka. Czarzasty uniknie podziałów? str. 5

Britney Spears i jej kłopoty z sądem str. 13



Plaga traktorzystów na rauszu. Mają nawet 4 promile str. 9

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA TIMES.PL

Nr ISSN 1898-3081

Nr indeksu 349-682



Poniedziałek 12 lipca 2021 | Nr 55 (2045) | 3,90 ZŁ W TYM 8% VAT

Final Euro 2020



To był jeden z najlepszych turniejów piłkarskich w historii

Final Anglia-Włochy rozegrany w niedzielę wieczorem był zwieńczeniem świetnego Euro. Choć turniej przebiegał zupełnie inaczej niż zwykle (więcej drużyn, bez jednej lokalizacji, pandemia), to poziom rozgrywek zaskoczył wszystkich.

Padało mnóstwo goli (średnio 2,6 na mecz), wiele spotkań miało niezwyczajną dramaturgię. Nie brakowało niespodzianek. Czarnym koniem turnieju została Dania, która otarła się o tragedię (piłkarz trafił do szpitala), a dotarła do półfinału.

Nam tylko żal, że Polska nie dostosowała się do tego poziomu. Drużyna Paulo Sousy była jedną z najsłabszych w turnieju.
O FINALE ANGLIA-WŁOCHY CZYTAJ NA WWW.POLSKATIMES.PL STR. 22

PiS kontra Platforma

Tusk przejął uwagę. PiS chce odzyskać inicjatywę

Tydzień po powrocie Donalda Tuska do krajowej polityki rządzące PiS chce odzyskać polityczną inicjatywę. Po ogłoszeniu, że były premier ponownie przejmie stery w Platformie Obywatelskiej, partia Jarosława Kaczyńskiego mogła tylko przyglądać się festiwalowi medialnemu Tuska. Ale teraz obóz władzy kontrata-

kuje. Kaczyński w niedzielę w Rypinie wygłosił mocne przemówienie, w którym tłumaczył zawilości Polskiego Ładu, i zapowiada, że w kolejnych tygodniach będzie kontynuował swój objazd po Polsce. Podobnie premier Morawiecki. Czy to wystarczy, by zepchnąć Tuska na bok? **STR. 4**

Inflacja

Boom czy bańka na mieszkaniach?

Mediana ceny metra kwadratowego mieszkania w Warszawie to już 11,5 tys. zł. Czy to już bańka? Deweloperzy twierdzą, że nie. NBP też uspokaja. Słusznie? **STR. 10-11**



Pandemia

Głupota tak zaraźliwa jak COVID-19

Nie rozumiem, dlaczego tak wiele osób nie chce się szczepić. Warto rozważyć przymus - mówi lekarka, która kierowała oddziałem covidowym w szpitalu. **STR. 6-7**

Prokuratura

Tajemnice świadków koronnych

Dwóch prokuratorów opowiada, w jaki sposób współpracuje się ze świadkami koronnymi. I czym się różni od małych świadków koronnych. **STR. 16**

Ale ja naprawdę nie chciałem nikogo zabić



Felieton

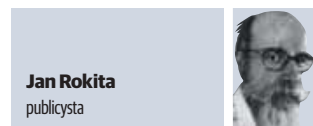
Nie wierzę w pospolite ruszenia. Nie wierzę, gdy premier mówi, że teraz to już rząd ostro weźmie się za pijanych morderców na drogach. Bo? Bo to akcyjne. Bo sezon ogórkowy i poruszająca historia trojga dzieci, osieroconych w sekundzie, kiedy pijak zabił ich rodziców - oczywiście chwytą za serce. Sęk w tym, że takich morderstw do końca tego roku będzie około 200. Można z dużą dozą pewności założyć, że wiele z nich skończy się osieroceniem dzieci. A mówimy tylko o morderstwach popełnionych przez pijanych kierowców. Ofiar wy-

śmiertelnych w wypadkach, w których przyczyną był alkohol. Można to wytłumaczyć francuską kulturą picia i wyższymi limitami spożycia, po których kierowca może prowadzić. W Polsce - teoretycznie nie może. A praktycznie... A praktycznie piją i jadą. Piją panie w garsonkach i panowie w garniturach. Butelka wina wypita do wieczornej kolacji, podczas babskiego wieczoru czy ot tak, bez okazji - to promile podczas porannego dojazdu do pracy. Drink wypity z kolegami - to promile podczas powrotu. Są też kierowcy, których policja przyłapuje podczas prowadzenia z flaszka w dłoni. Ale to wyjątki. Reguła? Nieuświadomieni alkoholicy. Ktoś, kto wiedząc, że będzie prowadził, pije - jest alkoholikiem. Choć sam się do tego nie przyznaje. Utrwała to kultura. Przykład? Tydzień temu, podczas lunchu odmawiam piwa, bo „prowadzę”. Odpowiedź kelnera: to może małe?

Dlatego nie wierzę w „zero tolerancji”. Słyszałem to już zbyt wiele razy. Zbyt wiele razy widziałem, jak politycy zbierają punkty przy tragedii jakiejś rodziny. Bo medialna. I przez jakiś czas będzie głośno, a potem kurz opadnie. W międzyczasie zginie kolejna setka anonimowych ludzi, aż znów zostaną osierocone jakieś dzieci, znów zrobi się głośno. Pijanych morderców nie da się całkowicie wyplewić. Tak samo trudno wyplewić trzeźwych morderców, którzy prowadząc auto gorzej niż przyuczone małpy, zabijają ludzi prędkością. Nie da się całkiem, ale można ograniczyć im pole do popisu. Ale to wymaga lat bardzo, ale to bardzo systematycznej edukacji.

Zacznijmy od niej. Bo potem, to już można tylko karać. Ale od tego nikt nie zmartwychwstanie.

Wreszcie!



Luksus własnego zdania

Bagram była symbolem. Takim, jak przed wiekami potężna joannicka twierdza Akka, która długo symbolizowała polityczną i militarną obecność Zachodu w opanowanej przez islam Ziemi Świętej. Upadek Akki był historycznym końcem tamtej obecności. Dziś podobnie jest z bazą Bagram. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Bagram też była twierdzą, która do póki pozostawała w rękach Amerykanów, to jasne było, że Zachód mocną nogą stoi w Afganistanie. I jakby co - to może się ciągle „odwinąć”, by jeszcze raz próbować wprowadzić w Azji Środkowej własne polityczne i kulturowe porządki. Z demokracją, wyborami, rynkiem, cywilną kontrolą nad armią - i jeszcze innymi tego rodzaju różnymi „dziwactwami”, jak na tamtejszą kulturę i obyczaje.

Teraz Bagram została opuszczona. Nieprzyjemnie

się czyta doniesienia o okolicznościach tego faktu. Amerykanie ewakuowali się przed czasem wymaganym przez układ z talibami, w nocy, w pośpiechu, zostawiając otwarte bramy i nie powiadamiając rządu afgańskiego. Skądinąd ten ostatni fakt dobitnie pokazuje poziom zaufania Amerykanów do tamtejszego rządu, który przecież niegdyś sami ustanowili. Teraz każdego dnia przychodzą informacje o panice władz w Kabulu, o rozpysce szkolenie przez tyle lat na koszt Ameryki armii, której żołnierze w popłochu uciekają do sąsiedniego Tadżykistanu. Zaś rząd USA prosi Tadżyków i Uzbeków, aby przyjęli kilkadziesiąt tysięcy ludzi pracujących dotąd dla NATO. Ci jednak - jak się zdaje - grzecznie odmawiają. Trudno nie przypomnieć sobie tekstu sprzed lat z konserwatywnego „National Review”, wedle którego po sławetnej ucieczce Amerykanów z Sajgonu komuniści wietnamscy zamordowali 30 tysięcy ludzi na podstawie pozostawionej w chaosie... listy agentów CIA. Można kulturę żywić nadzieję, że w Afganistanie nie dzieje się dziś podobnie.

Dwie dekady temu, po 11 września, na wezwanie George'a Busha solidarnie uczestniczyliśmy w inwazji na królestwo Al Kaidy w górach afgańskich. Postąpiliśmy wtedy słusznie i z rozważą. Al Kaida została rozbita i przestała być groźna dla świata, a po dalszych dziesięciu latach dopadnięty i zabity został jej herszt - Osama bin Laden. To wtedy najpóźniej skończył się polityczny sens wojskowej obecności Zachodu w Afganistanie. Potem były już tylko niekończące się krwawe potyczki z talibami, nie wiadomo w ogóle w jakiej sprawie. I jeszcze bardziej bezsensowne liczne ofiary cywilne, najczęściej wynikające z błędów i paniki przestraszonych żołnierzy NATO. No i utrzymywanie najbardziej skorumpowanego na świecie pseudodemokratycznego rządu w Kabulu, który choć istniał tylko dzięki Amerykanom, nie okazywał nawet z tego powodu jakiegokolwiek wdzięczności.

Ale to wszystko z polskiej perspektywy kompletne drobizgi, wobec kluczowej geopolitycznej funkcji okupacji Afganistanu. Przez długie dwie dekady prezy-

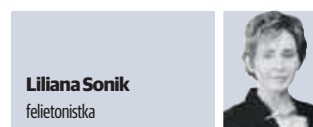
dent Putin mógł być całkowicie spokojny o południowe rubieże Rosji, których ofiar nie strzegaliśmy przed islamistami. Dlatego właśnie mógł mieć wolną rękę, aby „zajmować się” Gruzją, Ukrainą czy Białorusią. Rosja, która niemal cały wiek XIX i XX musiała bić się z islamistami „basmaczami”, aż w końcu w czasach Breżniewa poszła na wielką inwazję Afganistanu, ponosząc druzgocącą klęskę, tym razem zapewniała sobie bezpieczeństwo i spokój naszymi rękami, na koszt Ameryki i NATO. I tak naprawdę już co najmniej od dziesięciu lat trudno było pojąć, dlaczego cały Zachód tak się wysila, aby zapewnić bezpieczeństwo i wolną rękę rosyjskiemu prezydentowi? Teraz - po opuszczeniu Bagram, na Kremlu muszą dzwonić wszystkie alarmowe dzwonki i migotać ostrzegawcze lampki. W końcu prezydent Putin musi się sam na serio zatroszczyć o południowe rubieże swojego kraju, które już za chwilę mogą płonąć za sprawą uwolnionych od zachodniej presji islamistów. Polityczny rozum nakazuje odetchnąć z ulgą. Wreszcie!

Nie wierzę w „zero tolerancji”. Słyszałem to zbyt wiele razy. Zbyt wiele razy widziałem, jak politycy zbierają punkty przy tragedii jakiejś rodziny. Bo medialna. I przez jakiś czas będzie głośno, a potem kurz opadnie

padków samochodowych do końca tego roku będzie około 3 tysięcy. Jak co roku. Małe miasteczko ludzi wyparuje w wypadkach. Przypomnę - w naszym kraju ogłasza się żałobę narodową, gdy ginie kilkanaście osób. A żałobę po 3 tysiącach naszych rodaków noszą tylko ich rodziny.

Jesteśmy wyjątkiem na skalę Europy. Większą lub porównywalną liczbę wypadków śmiertelnych na drogach mają w Unii tylko Niemcy i Francuzi, których jest zdecydowanie więcej i więcej mają samochodów. Ci drudzy - mają też dużo większą liczbę ofiar

Pigułka, leki i ścieki



Felieton

Gdyby nie to, że pod raportem widniały podpisy tużów europejskiej nauki, pomyślałabym że ktoś robi sobie żarty. Konkret: brzmiałyby: ryby się feminizują. Że nasz świat się feminizuje, widać gołym okiem. My jednak feminizujemy wartości, obyczaje i emocje, a wśród ryb zanikają samce. Po prostu. Przyczyną są leki hormonalne, zwłaszcza pigułki antykoncepcyjne. Zawarte w nich substancje aktywne wydane z mocem wędrują ze ściekami do wód rzecznych i morskich powodując zaburzenia u ryb i ssaków morskich. Syntetyczny estrogen destabilizuje ich gospodarkę hormonalną i... zmienia płeć ryb. Nie dziwny się zatem, że rybacy narzekają na kurczenie się ławic.

Już kilka lat temu badacze Susan Jobling i Richard Owen w raporcie dla Europejskiej Agencji Środowiska apelowali o natychmiastowe działania

ochronne. Ich zdaniem zanieczyszczenie hormonami przenika do wody pitnej, co prawdopodobnie wpływa na wzrost liczby chłopców rodzących się z deformacją narządów płciowych. W mediach w zasadzie nie ma informacji na ten temat. Niektórzy twierdzą, że temat jest nie na rękę firmom farmaceutycznym obawiającym się hałasu wokół pigułki. Szybko okazało się, że problem jest znacznie szerszy. W raporcie OECD czytamy, że w 65 % z 711 rzek testowanych w 72 krajach odkryto pozostałości antybiotyków. Jeszcze gorzej jest ze środkami przeciwbólowymi.

Nie zapominajmy, że Polska dzierży wśród krajów europejskich niechlubną palmę pierwszeństwa w ilości leków kupowanych bez recepty oraz antybiotyków zażywanych w domu. To wiadomość fatalna i kompromitująca. Fatalna nie tylko ze względu na szkody dla środowiska, ale bezpośrednie dla nas. Im więcej antybiotyków, tym więcej bakterii odpornych na antybiotyki. Jeśli nie nauczymy się powściągliwości w stosowaniu leków, to za 2 dekady infekcje bakteryjne będą zabijać częściej niż nowotwory - twierdzi WHO.

Karmimy się lekami, jakby były cudowną mianą z nieba. Mam wrażenie, że z wszystkich emitowanych w Polsce reklam, najczęściej kuszą nas właśnie lekarstwami. Ale nikt nam nie mówi, że nawet 90% substancji aktywnych jest wydalanych. Czyli leki zużyte przedostają się do wód, a niezużyte wędrują do śmieci, a wraz z nimi do wód i środowiska.

Co dalej? Najlepiej uczuć, że leki nie są obojętne

W Jaworznie stworzono stację badawczą, która testuje skuteczność neutralizacji leków metodą filtracji połączonej z ozonowaniem

dla zdrowia i nie wolno łykać tabletek przeciwbólowych jakby to były cukierki. Świadomość ewoluuje jednak powoli. Rozwiązaniem byłoby kierunkowe oczyszczanie ścieków, ale nie potrafiliśmy tego zrobić. W naszych całkowitnie niezłych oczyszczalniach - podobnie jak w innych państwach Unii - nie

neutralizuje się farmaceutyków.

Teraz pojawiła się jednak znakomita wiadomość. W oczyszczalni ścieków w Jaworznie stworzono stację naukowo-badawczą, która testuje skuteczność neutralizacji leków metodą filtracji połączonej z ozonowaniem. Współpraca z tarnowską firmą WOFIL przyniosła rewelacyjne efekty. Joanna Stepa - technolog ścieków w Jaworznie - mówi mi, że po trwającym półtora roku pracach są bardzo zadowoleni z efektów. Nowatorska technologia redukuje aż o 95% obecność farmaceutyków. Jest przy tym całkowicie ekologiczna. W Jaworznie mają nadzieję, że wypracowany u nich model będzie służył w wielu miejscach w Polsce i za granicą.

Całość skomplikowanego i nowatorskiego przedsięwzięcia (wraz z monitorowaniem jakości) kosztowała 2,8 mln zł. Jak na niewielkie Jaworzno suma poważna, lecz badania wsparł NFOŚ sumą 1,75 mln zł. Trwaj chwilo, jesteś piękna: wszystko wskazuje, że zbliżyliśmy się do rozwiązania palącego problemu dzięki współpracy instytucji samorządowej z państwową oraz z firmą prywatną. Można? Można.

ZESTAW KIBICA

ZWYCIĘSKIE POŁĄCZENIE

stop.
cafe



SPONSOR STRATEGICZNY

Promocja trwa od 1.07.2021 r. do 31.08.2021 r. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji dostępne są na www.stopcafe.pl

PiS przechodzi do ofensywy. Kaczyński promuje Polski Ład

Leszek Rudziński
leszek.rudzinski@polskapress.pl



Polityka

PiS chce odzyskać inicjatywę, stosując sprawdzoną strategię kija i marchewki. System zachęt dla zwolenników został połączony z serią uderzeń w obóz politycznych rywali. Czy to wystarczy, by znów wrócić na ścieżkę politycznej dominacji?

Początek maja wydawał się być punktem zwrotnym w krajowej polityce. PiS, który w czasie pandemii i po zaostrzeniu kompromisu aborcyjnego przez Trybunał Konstytucyjny wyraźnie stracił w sondażach, wyglądał jakby zapadł w sen zimowy. Partia Kaczyńskiego stała się jałowa, wyprana z energii i kreatywności. Jedynie administrowała, nie próbując nawet

przejmować politycznej inicjatywy.

Ale w maju nastąpił przełom. Najpierw PiS zręcznie rozegrał Platformę Obywatelską przy okazji głosowań w sprawie Krajowego Planu Odbudowy - zbudowana w tajemnicy koalicja z Lewicą pozwoliła zostawić na spalonym PO kierowaną (wtedy) przez Borysa Budkę. Później PiS (wspólnie z Porozumieniem i Solidarną Polską) z dużą pompą zwodował Polski Ład, dominując polską politykę na kolejne dni. Opozycja znalazła się w głębokim impasie, w dodatku targana wewnętrznymi konfliktami i atakami.

Ale minęło kilka tygodni i okazało się, że z dużej chmury mały deszcz. PiS trochę zyskał w sondażach, ale szybko znów wrócił na poziom trzydziestukilku procent poparcia. Jednocześnie opozycja się wyraźnie wzmocniła - przede wszystkim powrotem Tuska do Platformy. Decyzja byłego premiera absolutnie zdominowała politykę w ostat-

nich dniach pozbawiając PiS oddechu.

Polski Ład i reszta

Czy obóz rządzący zdoła odzyskać inicjatywę? Na pewno orobuje. Prezes PiS Jarosław Kaczyński w niedzielę wyruszył w Polskę, aby promować Polski Ład. Wcześniej taką inicjatywę podjął premier Mateusz Morawiecki. - Polski Ład oznacza szybszy wzrost PKB, nowe miejsca pracy i inwestycje - przekonywał w piątek szef rządu w mediach społecznościowych. Od poprzedniego weekendu, czyli od kongresu Prawa i Sprawiedliwości oraz powrotu Donalda Tuska jako przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, polityka nabrała przyspieszenia. Za zapowiedziami intensywniejszych działań idą czyny.

W niedzielę swój objazd po Polsce rozpoczął prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński. Swoją podróż zaczął od Rypina w województwie kujawsko-pomorskim, później udał się do Mławy w mazowieckim.

W liczącym 17 tys. mieszkańców Rypinie Jarosław Kaczyński przekonywał, że Polski Ład ma pomóc Polsce osiągnąć jeszcze wyższy wzrost gospodarczy oraz dogonić Zachód w ciągu bieżącej dekady.

Przekonywał, że program będzie stanowić wsparcie dla mniej zamożnych Polaków, których jest większość, a ci zamożniejsi, którzy będą musieli płacić wyższe składki do budżetu, będą mogli liczyć na ulgi za działania prospołeczne.

Kaczyński dodawał, że jeśli program zostanie zrealizowany, to pod koniec obecnej dekady „nie poznamy Polski w sensie pozytywnym”. I apelował do działaczy Prawa i Sprawiedliwości, by pracowali, żeby pokazywać, że ten program stanowi realną zmianę, a nie jest tylko hasłem.

Lider partii rządzącej zamierza odwiedzić w lipcu kilkanaście miejscowości, w których będzie przekonywał Polaków do rządowego programu społeczno-gospodarczego na okres po pandemii.

Ta sztandarowa inicjatywa PiS ma w założeniach odbudo-



W Rypinie Kaczyński przekonywał, że Polski Ład zmieni Polskę w kraj zamożnością bliski Zachodowi

wać wzrost gospodarczy po pandemii i stanowić kolejną ofertę dla mniej zamożnych, a w sensie politycznym odbudować poparcie ugrupowania rządzącego po spadkach spowodowanych pandemią.

Jarosław Kaczyński chce dać przykład działaczom partyjnym z całej Polski, by oni również zaangażowali się w promowanie Polskiego Ładu. Zgodnie z założeniami PiS, w najbliższych tygodniach spotkania promujące Polski Ład mają odbyć się w każdym powiecie w Polsce.

„Cele Polskiego Ładu da się zrealizować tylko wtedy, gdy będziemy - mam tu na myśli Prawo i Sprawiedliwość - bardzo ciężko pracować i nie będziemy popełniać określonych błędów” - podkreślił Kaczyński w liście do uczestników Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej”.

„Podjęliśmy pewne kroki naprawcze. Po nich przyjdą kolejne. Mam nadzieję, że nadadzą one naszej pracy nowy, ogromny impuls, który przyspieszy budowę Polski naszych wspólnych marzeń” - dodał.

PiS liczy, że promocja Polskiego Ładu pozwoli partii odzyskać inicjatywę polityczną utraconą po powrocie Donalda Tuska

Kaczyński, do końca lipca, co tydzień ma odwiedzać inny region kraju. Oprócz szefa PiS Polski Ład w terenie promować mają również marszałek Sejmu Elżbieta Witek, a także była premier Beata Szydło. Z mieszkańcami spotykać się będą również ministrowie, parlamentarzyści oraz działacze partii.

Po intensywnym lipcu Jarosław Kaczyński zamierza zrobić sobie miesięczną przerwę w objazdach po Polsce. Obecne plany są takie, że były premier wróci do nich we wrześniu.

Premier działa już od maja

Rozpoczęty w maju objazd po kraju z Polskim Ładem kontynuować będzie premier Mateusz Morawiecki. Jeszcze w piątek złoży wizytę w zielonogórskiej firmie Ekoenergetyka Polska SA.

Szef rządu przekonywał w mediach społecznościowych, że Polski Ład oznacza szybszy wzrost PKB, nowe miejsca pracy i inwestycje.

„Płyną do nas kolejne dobre wiadomości z agencji ratingowej Standard&Poor's dotyczące prognozy wzrostu PKB na ten rok, która została podniesiona na ponad 4 proc., a na przyszły rok do 5,4 proc.” - napisał na Facebooku.

I dodał: „To estymacja, która pojawiła się już po przedstawieniu przez nas programu Polskiego Ładu. Już widać jego wpływ. A to przecież dopiero początek”.

Kaczyński: Trwa akcja wymierzona w Polski Ład

Być może aktywność władz PiS zniweluje nieco efekt nowości na scenie politycznej, jaką jest powrót Donalda Tuska. Nowy przewodniczący Platformy Obywatelskiej rozpoczął w minionym tygodniu swój powrót od serii spotkań z działaczami, posłami i senatorami.

Co prawda po kilku dniach ogłosił, że... idzie na krótki urlop, co spotkało się z falą kpin ze strony nieprzychylnych mu mediów, ale w PiS zdają sobie sprawę, że w obliczu powrotu Tuska do polskiej polityki wszyscy muszą być maksymalnie zmobilizowani.

Niezależnie od tego prezes PiS powtarza - także w Rypinie to mówił - że jego zdaniem trwa akcja skierowana przeciw partii rządzącej i programowi Polski Ład. - Dawno nie było takiego poziomu zakłamania jak w przypadku tego programu. Musimy Polskiego Ładu bronić - przekonuje Kaczyński, apelując o pracę posłów i docieranie do powiatów oraz gmin, aby tam prezentować program PiS.

Zresztą zaostrzenie kursu obozu władzy widać też w innych obszarach. Sygnałem tego jest choćby zgłoszony w Sejmie projekt ustawy odbierającej koncesję TVN, czy intensyfikacja działań w sprawie Sławomira Nowaka oskarżanego o korupcję. Widać, w jaki sposób zasada kija i marchewki może być stosowana w realiach polskiej polityki.

REKLAMA 0410037433



www.centrummody.pl

CM
ELEGANCJA
CENTRUM MODY
AL. KATOWICKA 51 NADARZYN

**PRZYGOTUJ SIĘ
DO LATA**

Kwiatkowski: To jest próba ratowania jedności klubu i Lewicy

Adam Willma
adam.willma@polskapress.pl

Rozmowa

Źródeł wszystkich napięć szukałbym w metodach pracy kierownictwa - mówi Robert Kwiatkowski, poseł Lewicy.

Kwiatkowski przeciwko Czarzastemu. Prowadzi pan „rozbijającą działalność”?

Przeciwnie, to próba uratowania jedności klubu i Lewicy. Tak bym to interpretował.

Wyjaśnijmy: decyzją Włodzimierza Czarzastego zawieszony w prawach członka Lewicy został europoseł Marek Bałt, który jest szefem struktur na Śląsku, lecz nie podjął działań, gdy radni sejmiku z Lewicy poparli PiS. Przeciwko tej decyzji

zaprotestowało kilkunastu polityków partii. W czym problem?

Chodziło o opinię Regionalnej Izby Obrachunkowej, pozytywnie oceniającą działalność zarządu województwa śląskiego. Radni głosują według własnego przekonania. To nie jest głosowanie typu wotum nieufności, czy zaufania. To skwitowanie działalności zarządu w poprzednim roku. Innymi słowy, to ma się nijak do politycznych działań podejmowanych na poziomie parlamentu. Parlament i krajowa polityka rządzą się swoimi regułami, samorządy swoimi. I tam ta współpraca robocza odbywa się na porządku dziennym, bo trudno działać inaczej.

Wyszła z tego połajanka - kto jest bardziej, a kto mniej antypisowski

Na dobrą sprawę nie rozumiem tego, co się stało. Gdyby przykładać tę kategorię, których pan używa: PiS i an-



Robert Kwiatkowski, poseł Lewicy

typis, trzeba byłoby zadać inne pytania i spytać bynajmniej nie o to, jak głosowali radni jednego z 16 sejmików. Tym bardziej - co ma do tego europarlamentarzysta, szef śląskich struktur Lewicy? Przecież między tymi podmiotami jest kosmiczna odległość. Może lepiej zająć się głosowaniem w sprawie krajowego planu odbudowy? Bo to była realna miara współpracy? Ale tu akurat padają odwrotne argumenty.

O co więc chodzi?

Źródła tych wszystkich napięć szukałbym raczej w odbytej niedawno Radzie Krajowej, w trakcie której metody pracy kierownictwa i przygotowanie do Kongresu zostały poddane dość zasadniczej, ale merytorycznej krytyce.

Czarzasty stracił rewolucyjną czujność, czyniąc sobie nowych wrogów w partii?

Nie chciałbym tego ujmować w kategoriach wrogości.

To oczywiście gorąca dyskusja przedkongresowa. Musimy tę trudną operację połączenia przeprowadzić odpowiedzialnie. Tak, żeby efekt przewyższał sumę poszczególnych składników i żeby przy okazji nie dopuścić do sytuacji, w której to liderzy mają partię, a nie partię mają liderów. Bo my jesteśmy formacją, która ma długie korzenie i są to korzenie demokratyczne. Tym się szcycimy i takie jest DNA tej partii. Mieliliśmy różnych liderów i zawsze oni powinni działać na rzecz partii. To nie partia była własnością tego czy innego lidera, jak to jest w PiS czy PO. Bo - mimo szczerych chęci - co by w Platformie nie robić, zawsze się kończy na Tusku, a - co byliby nie robić i nie wyobrażać sobie w PiS-ie - zawsze na końcu jest Kaczyński. W PSL-u, SLD, czy obecnie w Nowej Lewicy można sobie wyobrazić różnych liderów, różne twarze. Ci lu-

dzie zawsze pracowali dla tego środowiska politycznego. Chcielibyśmy, by ten stan się utrzymał, to znaczy, żeby było wielu liderów, żeby to była formacja demokratyczna, a nie autokratyczna.

Wróble ćwierkają, że to kolejny sygnał zarysowujących się podziałów, które w przyszłości mogą doprowadzić do podziału Lewicy, którego konstruktorem może okazać się Czarzasty.

Przypomnę, że klub parlamentarny ma charakter koalicyjny, to znaczy wchodzą w jego skład cztery różnych ugrupowania. Dlatego ten podział jest jakby wpisany w strukturę Lewicy i nie jest to nic złego. Upatruję w tym przewagę tego ruchu, bo ci koalicjanci traktują się po partnersku. Rozmawiamy ze sobą, z tego się wyłaniają różne stanowiska. Póki co są one wspólne, więc o rozejściu się nie ma mowy i specjalnie go sobie nie wyobrażam.

Materiał informacyjny PGE Polska Grupa Energetyczna S.A.

0010205369

Jaka przyszłość czeka regiony górnicze

Konieczność szukania wspólnych, przyszłościowych rozwiązań i sposobów na sprawiedliwą transformację - to główne wnioski, do jakich doszli uczestnicy debaty „Wspólna przyszłość regionów górniczych położonych na trójstyku granic PL-CZ-DE. Gospodarka, Społeczeństwo, Środowisko”, zorganizowanej przez PGE Polską Grupę Energetyczną. Debata odbyła się 9 lipca br. w Bogatyni.

PGE Polska Grupa Energetyczna zaprosiła do udziału w debacie samorządowców oraz ekspertów z dziedziny energetyki z Polski, Czech i Niemiec. Wśród uczestników debaty znaleźli się posłowie do Parlamentu Europejskiego - prof. Jerzy Buzek oraz Anna Zalewska.

Nie ma już wątpliwości, że czeka nas transformacja energetyczna. Jak podkreśliła Anna Zalewska, Członkini ENVI, w Unii Europejskiej przyjęto, iż stan tzw. zeroemisyjności zostanie osiągnięty w 2050 roku. Co oznacza to dla regionów, w których większość mieszkańców utrzymuje się z pracy w kopalniach węgla brunatnego bądź elektrowniach produkujących energię z węgla?



Debata „Wspólna przyszłość regionów górniczych położonych na trójstyku granic PL-CZ-DE. Gospodarka, Społeczeństwo, Środowisko”

– Przyszłością regionu jest transformacja energetyczna – mówił Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej. – Na trójstyku granic Polski, Czech i Niemiec problem dotyczy dziesięciu ośrodków – pięciu po stronie czeskiej, czterech po stronie niemieckiej i naszego – w Turowie. Łącznie ośrodki te dają pracę 50 tys. osób. Od transformacji nie ma odwrotu. Istotne jest jednak to, by przejść tę drogę suchą stopą. Dlatego też transformacja musi odbywać się w sposób skoordynowany, przy współpracy wszystkich pozio-

mów administracji i biznesu prywatnego – dodał.

Co do tego, że żadnemu z trzech krajów nie uda się to w pojedynkę, nie ma wątpliwości. – O odchodzeniu od węgla musimy myśleć w trzech perspektywach: europejskiej, krajowej, ale i tej regionalnej – wyliczał podczas debaty dr Frank Umbach, Dyrektor Naukowy Europejskiego Centrum Bezpieczeństwa Energii i Zasobów (EUCERS) w King's College w Londynie. – Odchodzenie od węgla osobno przez każde z państw trójstyku nie ma sensu.

Prof. Jerzy Buzek podkre-

ślał jedność interesów krajów reprezentowanych w debacie.

– Wszędzie mieszkańcy mają te same oczekiwania: chcą czystego środowiska, dobrej gospodarki i tego, by mogli pozostać w swoich regionach. To dobry znak, że PGE chce odchodzenia od węgla – mówił europarlamentarzysta, Członek Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii PE (ITRE). Dodał też, że zapewniony jest zacyzyn finansowy na czas transformacji w postaci Funduszu Sprawiedliwej Transformacji.

Do kwestii finansowych odniósł się także przedstawi-

cielka czeskiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, zaznaczając, że czescy pracownicy, których bezpośrednio dotyczą konsekwencje transformacji, poza środkami wypłacanymi przy zwolnieniach, otrzymują także dopłaty restrukturyzacyjne wypłacane nawet przez 5 lat.

Cezary Przybylski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego, podkreślił, że kopalnia i elektrownia Turów daje utrzymanie 6–8 tys. ludzi. – Równocześnie z uwalnianiem obszarów od kopalni Turów musimy więc przyciągać dużych inwestorów, którzy dadzą tym ludziom pracę – mówił Marszałek.

– Skoro mamy w perspektywie przebranżowienie osób zatrudnionych w spółkach paliwowo-energetycznych, wyrażam nadzieję, że europarlamentarzyści będą zabiegali o kolejne środki na ten cel – dodał do dyskusji o finansach Prezes Wojciech Dąbrowski. – Obecnie Fundusz Sprawiedliwej Transformacji to 17 mld euro. Taka kwota w skali całej Unii Europejskiej jest zdecydowanie za mała.

Uczestniczący w debacie Piotr Roman, Prezydent Miasta Bolesławiec, Prezes Euroregionu Nysa (PL), zaznaczył,

że Euroregion ma narzędzia do tego, by wspomóc wspólne przejście transformacji.

– Realizujemy 500 projektów, mamy więc doświadczenie we współpracy. Potrzebne są tylko odpowiednie decyzje polityczne i finansowe przy wsparciu Unii Europejskiej.

Wojciech Dobrołowicz, Burmistrz Miasta i Gminy Bogatynia oraz Rafał Gronicz, Burmistrz Miasta Zgorzelec byli zgodni, że w centrum zainteresowania muszą być mieszkańcy, których transformacja energetyczna bezpośrednio dotknie. To na trosce o ich przyszłość powinny skupić się wszystkie podmioty mające wpływ na przebieg czekających nas zmian.

Czy zmian tych należy się obawiać? Odpowiedzi na to pytanie można szukać w – cytowanych przez prof. Jerzego Buzka – słowach Winstona Churchilla: „Nigdy nie marnujcie dobrego kryzysu”. Autorowi tych słów chodziło o to, by z wszelkich perturbacji wyciągać właściwe wnioski i dążyć do tego, by finalnie przynosiły one korzyści. Zorganizowane przez PGE Polską Grupę Energetyczną spotkanie w Bogatyni i zamiar podejmowania kolejnych działań, są ku temu najlepszymi podwalinami.

Prokop-Staszecka: Głupota jest równie zakaźna jak koronawirus

Jolanta Tęcza-Ćwierz
jolanta.cwierz@polskapress.pl



Pandemia

Jestem przeciwnikiem przymusu. Uważam, że każdy powinien świadomie podejmować decyzje. Ale zmieniłam zdanie, jeżeli chodzi o dobrowolność szczepień przeciw covid-19, ponieważ uważam za nieetyczne to, że ludzie, którzy mogą się zaszczepić, nie robią tego. W ten sposób pandemia nigdy się nie skończy - mówi dr Anna Prokop-Staszecka, mikrobiolog, pulmonolog, serolog ze szpitala Jana Pawła II w Krakowie.

Na mój oddział każdego dnia trafiają pacjenci. Pytam: był pan szczepiony? Zaszczepiła się pani? I słyszę: nie, bo nie. Wymazu nie chcą zrobić, bo żyją w demokratycznym kraju, szczepić się nie będą, bo żyją w demokratycznym kraju, wszystko zasłaniają demokracją. Głupotę i ignorancję ubierają w dostojną demokrację. Dlatego uważam, że szczepienia powinny być obowiązkowe. I to są moje poglądy.

Pokora

Wirus nauczył nas wszystkich ogromnej pokory. Jeszcze półtora roku temu wydawało nam się, że potrafiemy wszystko. Tymczasem pandemia pokazała, jak bardzo się myliliśmy.

Od października 2020 do maja bieżącego roku pracowałam na oddziale covidowym. Na pierwszej linii frontu. Przez siedem miesięcy wraz z całym zespołem byliśmy zmotywowani i zmobilizowani do walki z koronawirusem. Igdy ktoś mnie pyta, w jaki sposób pandemia wpłynęła na mnie jako na lekarza, odpowiadam: przynębiająco.

Dziś, kiedy patrzę na statystyki dotyczące szczepień, jestem zniechęcona i smutna, bo słyszę od pacjentów, że nie

szczepią się, ponieważ mogą im wszczepić czipa. Dla mnie to jakieś kuriozum. Nie mogę się w tej sytuacji odnaleźć jako lekarz.

Zawsze uważałam, że mój zawód to najpiękniejsze, co mogło mi się w życiu przydarzyć. Kiedy wybuchła pandemia, wiele osób mi mówiło: po co ci to? Przecież możesz odejść na emeryturę. Odpuść. Pytałam: mam uciekać?

A dziś pierwszy raz w życiu zastanawiam się nad sensem tego wszystkiego.

Skoło jako lekarz z 40-letnim stażem nie mogę przekonać ludzi do tego, by się szczepili, to widocznie mój głos jest nieważny. I moja praca jest nieważna. Każdego dnia, gdy wychodzę ze szpitala, myślę: Boże, to chyba jakiś zły sen, że ludzie nie chcą się szczepić, a ich jedynym argumentem jest stwierdzenie: nie, bo nie.

Współpracownicy proponowali, abyśmy zorganizowali spotkania w kościołach, w urzędach, żebyśmy przekonali do szczepień, mówili o ich konieczności, o korzyściach. Żebyśmy wszem i wobec ogłaszali, że zaszczepienie nie umiera na covid, a jeśli zachorują, choroba ma łagodniejszy przebieg. Myślę jednak, że to zadanie rządzących. To oni powinni zachęcać społeczeństwo, ale nie obietnicami udziału w loterii, tylko podejmując mądre decyzje.

Zagrożenie

Mam na oddziale młodą kobietę, która cudem wyszła z zakażenia koronawirusem, ponieważ jednocześnie ma chorobę nowotworową. Robiliśmy wszystko, aby jej pomóc. Pacjentka ma bardzo niski poziom przeciwciał, prawie śladowy, mimo tego że przeszła covid,

Skoro nie mogę przekonać ludzi do szczepień, to widocznie mój głos jest nieważny. I moja praca jest nieważna

mimo podanej szczepionki. Mam jej powiedzieć: niech pani unika kontaktu z ludźmi, bo mogą panią zarazić? Ona chce żyć. Ma dwoje dzieci. Tymczasem kontakt z osobami niezaszczepionymi naraża jej zdrowie i życie.

Na oddziale mamy wielu chorych. Niektórzy są po przeszczepach narządów, inni mają cukrzycę albo biorą sterydy, które działają immunosupresyjnie. Ci pacjenci nie mogą wytworzyć odporności. Dlatego ci, którzy się nie zaszczepili, będą dla nich nieustannym zagrożeniem.

Odporność populacyjną uzyskamy, jeśli zaczepi się powyżej 70 proc. społeczeństwa. Tylko wtedy możliwość, że ktoś nas zarazi, będzie minimalna. W przeciwnym razie wirus nadal będzie wśród nas.

Nagradzanie za szczepienia, darmowy dostęp do szczepionek to nie jest dobra droga. A słowa pana ministra o odškodowaniu za ciężkie uszkodzenia na zdrowiu na skutek szczepienia - to nieodpowiedzialność. Niektórzy, gdy to słyszą, myślą sobie: oho, widocznie szczepionki to trucizna.

A może robią na nas doświadczenia? A może chcą nam coś wszczepić? Albo chcą nas kontrolować?

To taka ludowa, obiegująca mądrość. Są jednak tacy, którzy mocno w to wierzą. W związku z tym nie godzą się na szczepienia. I jaki jest efekt? Taki że ktoś, kto się zaszczepił, będzie miał defekt odporności i nie wytworzy przeciwciał. Osoba niezaszczepiona stanowi zagrożenie. Robi także krzywdę samej sobie. Wirus cały czas mutuje. Może być tak, że szczepionki przestaną za nim nadążać. Choć obecnie spada liczba zakażeń oraz zgonów z powodu covid-19, to wirus nie zniknął. I już prognozują, że jesienią będzie czwarta fala.

Nie wyjdziemy z tego, jeśli nie będziemy mądrzejsi i zdyscyplinowani w kwestii szczepień.

Ogniwo

Jeszcze w maju, kiedy zlikwidowaliśmy nasz oddział covidowy, miałam nadzieję, że



Dr Anna Prokop-Staszecka, była dyrektor szpitala Jana Pawła II w Krakowie, lekarz-pulmonolog i serolog. Do

wszyscy nadal będą pędzić do punktów szczepień. Tymczasem mija drugi miesiąc i widzę, co się dzieje: szczepionki są dostępne, punkty szczepień działają niemal całą dobę, a do mnie nadal trafiają pacjenci w wieku 60, 65 lat, którzy powinni być dawno zaszczepieni, ale z tego rezygnują. To bardzo przygnębiające.

Może ukazujemy za mało korzyści płynących ze szczepień, a za bardzo koncentrujemy się na działaniach ubocznych? Przeciętny Polak myśli wtedy, że ta szczepionka to jakiś chory eksperyment. A przecież każdy lek ma działania uboczne. Mówią o tym dołączone ulotki. Kiedy się zaszczepiłam, gorączkowałam. I nawet się z tego cieszyłam, bo to oznaczało, że mój organizm reaguje. A po 24 godzinach wszystkie niepożądane odczyny poszczepienne ustąpiły.

Jestem przeciwnikiem przymusu. Uważam, że każdy powinien świadomie podejmować decyzje. Ale zmieniłam zdanie, jeżeli chodzi o dobrowolność szczepień przeciwko covid-19, ponieważ uważam za nieetyczne to, że ludzie, którzy mogą się zaszczepić, nie robią tego. Mogą nie przenosić wirusa, mogą nie być ogniwami w łańcuchu zakażeń, ale nie decydują się na to z przyczyn czasami śmiesznych, czasem banalnych albo głupich.

Nie zdają sobie sprawy, że pandemia nigdy nie ustanie, wciąż będzie się tliła. Ciągłe za plecami będziemy mieli ryzyko choroby, która może skończyć się śmiercią.

Dziś popieram obowiązek szczepień. Dlaczego zmieniłam poglądy? Ponieważ zobaczyłam, że w niektórych miejscowościach mamy po 10-30 proc. zaszczepionych ludzi. Inie mogę uwierzyć, że Polacy są tak nieodpowiedzialni. Coś jest nie tak z naszym społeczeństwem, jeżeli wiemy o tym, że wirus może być groźny, że w niektórych przypadkach zabija, a mimo to nie chcemy zapobiegać jego transmisji.

Mamy dopiero roczne doświadczenie w tej walce, ale wiemy, że u 25 proc. osób, które przeżyły ciężkie zakażenie koronawirusem, mogą wystąpić różnego rodzaju powikłania. Nie wiadomo natomiast, jak będą one ewaluować w ciągu następnych lat.

Obowiązek

W wielu momentach historii jako naród potrafiliśmy się jednoczyć w imię wyższego celu. Także współcześnie w wypadku zagrożenia stajemy ramieniem w ramieniu i mobilizujemy wszystkie siły. Zbigniew Wodecki ujął to poetycko w jednej z piosenek: „Trzeba nam wyznaczyć wroga, bo in-

czej, panie, pany same się powyrzynamy”.

Jeszcze w marcu możliwość zaszczepienia się była czymś ekskluzywnym. Kolejne roczniki czekały z niecierpliwością na swoją kolej, wiele osób z goryczą odbierało wiadomość, że ich termin został przesunięty z powodu braku szczepionek. Przed świętami wielkanocnymi wszyscy biegali do szczepienia. Byłam taka dumna, że żyję wśród mądrych, odpowiedzialnych ludzi. Dzisiaj to się zmieniło. Prowadzę oddział i marzę, aby wszyscy pacjenci, którzy tu trafiają, byli zaszczepieni dwa razy. Tak nie jest. W tej chwili na oddziale przebywa 50 proc. osób niezaszczepionych na 30 pacjentów.

Choć szczepionki mamy podane na tacy, nie potrafimy się zjednoczyć w walce z koronawirusem. A przecież gdybyśmy wszyscy się zaszczepili, byłibyśmy bezpieczni. Nasze dzieci i wnuki nie byłyby narażone na zakażenie covid-19.

Jakie są moje postulaty? Uważam, że szczepienia powinny być obowiązkowe dla wszystkich od 18 roku życia. Jeżeli będziemy zachęcać do szczepień ustami celebrytów, organizować loterie dla zaszczepionych czy proponować kino - nic z tego nie będzie. Społeczeństwo będzie się obawiało, że skoro coś dają za darmo, to znaczy, że to nie



FOT. ANNA KACZMARZ

maja kierowała oddziałem covidowym

jest dobre. Kiedy był wróg, walczylismy. A gdy mamy szczepionki, nie korzystamy z nich. W ten sposób nigdy nie pokonamy pandemii!

Uważam również, że szczepionki powinny być odpłatne. To, co kosztuje, ma wartość. To się ceni. Może gdyby trzeba było zapłacić za szczepienie, byłoby więcej chętnych?

Życzliwość

Nie podoba mi się, że wokół coraz więcej agresji. Nie wiem, do czego to doprowadzi. Przykład niestety idzie z góry: jeden na drugiego krzyczy, zarzuca kłamstwo. Dawniej panował szacunek do człowieka starszego, lekarza, nauczyciela. W tej chwili to zanika, a pojawia się brak kultury i chamstwo. Jak w tej historii: gdy zobaczył w lustrze swoje odbicie, zaczął szczeleć. Im głośniejsze szczeleć, tym agresywniej odnosił się do niego pies, którego widział po drugiej stronie. W końcu padł od tego szczeleć. A co by było, gdyby podszedł do lustra, przyjaźnie merdając ogonem? W naszej pracy jest podobnie. Jak wspaniała atmosfera byłaby w szpitalu, gdyby lekarze i pacjenci odnosili się do siebie z życzliwością, uśmiechem?

Coraz częściej jako lekarz spotykam się z agresją, słyszę obraźliwe słowa, jestem świadkiem zachowań, z jakimi nie

spotkałam się w ciągu 40 lat pracy. Powód? Ludzie chcą, żeby im robiła tak, jak oni sobie życzą. Oto przykłady:

Pacjentka przyprowadziła męża. Chciała położyć go do szpitala, ponieważ na skutek przebytego zakażenia koronawirusem mężczyzna miał zespół hiperwentylacji - panikę oddechową. Zbadałam pacjenta i uznałam, że nie ma powodu, aby trafił na oddział. Gdy żona usłyszała diagnozę, publicznie mnie zwymyślała. Straszyla telewizją.

Inny pan chciał, abym przyleżała do szpitala jego teścia. Nie było wskazań medycznych do hospitalizacji. Wówczas mężczyzna odezwał się do mnie w bardzo obraźliwych słowach.

Czasem odnoszę wrażenie, że rodziny pacjentów myślą, że jako lekarz mogę wszystko znieść. Jednak akcja rodzi reakcję. Obawiam się więc, że nieuprzejmość pacjentów względem lekarzy może wywołać brak szacunku lekarzy względem pacjentów. Przychodzę rano do pracy z uśmiechem na ustach. Witam się z pacjentami. A potem spotyka mnie jedna, druga, trzecia przykra sytuacja i nawet nie mam ochoty wychodzić z gabinetu, rozmawiać i uśmiechać się. Pracuję z poczucia obowiązku. To przykre.

Bez prawa

Nigdy w życiu nie miałam wrażenia, że jestem obrażana przez pacjenta. Człowiek chory jest usprawiedliwiony. Może cierpieć, odczuwać ból. Jest chory, ma prawo do niestandardowych zachowań. Dlatego nigdy nie skarżyłam się na pacjentów. Nigdy nie powiedziałam, że pacjent mnie obraził. Natomiast to, co robią rodziny, przyprawia o ból głowy.

Praktyka podrzucania osób starszych i schorowanych do szpitala jest znana nie od dziś. Nie wszyscy wytrzymują wielomiesięczną opiekę nad rodzicami i dziadkami. Święta, Sylwester, okres urlopów - to czas, kiedy szpitale wypełniają się osobami starszymi. Nie dlatego że ich stan zdrowia nagle się pogorszył. Niektóre rodziny w ten sposób rozwiązują problem opieki nad seniorami.

Kiedyś ktoś napisał, że jestem katem, bo nie chciałam zatrzymać na oddziale dziadusia. Wnuczka tego pana krzyczała na nas i obrażała. Nie ma we mnie zgody na takie zachowania. Rodzinom pacjentów odbieram prawo bycia chamskim. Mamy na oddziale różnych chorych, z różnymi problemami, też psychiatrycznymi, ale zdecydowanie więcej kłopotów przysparzają ich rodziny. To narasta.

Jest mi bardzo przykro, ponieważ uwielbiam ludzi. Zawsze cieszyło mnie, jeśli mogłam komuś pomóc. Kiedy ro-

biłam więcej niż wynikało z obowiązku lekarza, czułam się lepiej. Dzwoniłam gdzieś, o coś poprosiłam, coś załatwiłam. To nie jest mój obowiązek, ale lubię mieć świadomość, że zrobiłam dla pacjenta wszystko.

Wystarczy się zaszczepić

Na oddziale covidowym nie brakowało sytuacji, w których nie umieliśmy pomóc pacjentowi, ponieważ trafiał do nas w stanie zaawansowanej choroby albo koronawirus błyskawicznie czynił spustoszenie. Bywały chwile, że modliliśmy się o cud. Tak było wtedy, gdy umierał mój przyjaciel. Znaliśmy się 38 lat. Nie mogłam mu pomóc. Zmarł z powodu koronawirusa. Płakał przed śmiercią. Nigdy tego nie zapomnę.

Jesienią ubiegłego roku modliliśmy się o lek, o szczepionkę, o coś, co pomoże nam leczyć pacjentów. O coś, co sprawi, że zdrowi nie będą się zakażać. I stało się. W grudniu pierwsze szczepionki trafiły do pacjentów. Początkowo była euforia. Nie brakowało chętnych, ale z każdym tygodniem zainteresowanie malało i tak jest do tej pory. Ludzie rejestrują się, a potem nie przychodzą. Umawiają termin i nie odwołują. Wielu nie chce się zaszczepić. Nie pomagają zachęty ze strony rządu, kampanie promocyjne, sprowadzanie preparatu jednodawkowego na rozmaite imprezy. Ciągłe daleko nam do osiągnięcia poziomu, który w ocenie epidemiologów zagwarantowałby odporność populacyjną. A tylko ona może nas uchronić przed konsekwencjami czwartej fali.

Tak sobie czasem myślę, że nie tylko koronawirusem możemy się zakazić. Głupota ludzka jest równie zakaźna: gdy jeden mówi, że się nie zaszczepi, reszta też nie chce. A przecież tylko szczepienia uchronią nas przed ciężkim przebiegiem choroby i śmiercią. Nie wspominając o kolejnym lockdownie, który uderzy nawet w zaszczepionych.

Jestem lekarzem i zgodnie z przysięgą Hipokratesa mam leczyć ludzi, ale pacjenci też powinni znać swoje obowiązki. Może powinniśmy wprowadzić odpłatne leczenie powikłań powojennych? Może finansowe konsekwencje niefrasobliwości przemówią ludziom do rozumu?

Ktoś zapyta, dlaczego mówię o konieczności szczepień? Odpowiadam więc: jestem to winna tym, którzy umarli na covid. Oni stracili życie. My możemy ratować swoje. Wystarczy się zaszczepić.

Administracji szpitala bardzo zależało na zamieszczeniu poniższego zdania przy tekście (pisownia oryginalna): „Poglądy prezentowane w wywiadzie dotyczące obowiązkowości szczepień są poglądami własnymi autora a nie instytucji, w której pracuje.”

Z alkoholem zawsze był poważny problem. Zwłaszcza na drogach



Grzegorz Ignatowski
redakcja@polskatimes.pl

Felieton

C o jakiś czas jesteśmy informowani, że wzrasta liczba fotoradarów. Rejestrowane są nie tylko przekroczenia nadmiernej prędkości, ale i przejazdy na czerwonym świetle. Bez względu, jak podkreślają osoby odpowiedzialne za respektowanie prawa na drogach, to wszystko jest robione dla naszego bezpieczeństwa. W rzeczy samej. Nawet dziecko wie, że każdy kierowca zdejmując nogę z pedału gazu lub zaczyna łapczywie wpatrywać się w licznik samochodu, kiedy zobaczy ostrzeżenie, że przed nim fotoradar. Siedzący z boku pasażer natychmiast ostrzeże przed potencjalnym mandatem.

Oczywiście, że jest spora grupa ludzi, która jest zadolowana z dużej ilości fotoradarów. Powiadają, że dzięki nim ludzie jeżdżą spokojniej. Oni zaś nie potrzebują żadnych znaków, które by ostrzegaly, że przed nimi znajduje się punkt kontroli prędkości. Nie są im potrzebne urządzenia techniczne ostrzegające, że w najbliższej okolicy znajduje się policyjny samochód i sprawdza, czy kierowcy jeżdżą zgodnie z przepisami. W związku z tym zadają sobie pytanie, czy spora liczba kierowców nie potrafi prowadzić samochodu, jeśli nie ma przed sobą bata nad głową. Chociażby w postaci surowego mandatu. Wszystkim zaś ludziom, którzy narzekają na kulturę jazdy i dopominają się większej ilości fotoradarów, odpowiadam, że nie da się ich ustawić na każdym skrzyżowaniu. Jedno jest pewne, że nie kontrolują one pijanych kierowców. Mimo że są oni realnymi zabójcami. Zaglądam do policyjnego raportu dotyczącego wypadków drogowych w naszym kraju w roku ubiegłym.

Ze statystyk policyjnych wynika, że użytkownicy dróg, a zatem nie tylko kierowcy, ale i piesi oraz pasażerowie pojazdów będący pod wpływem alkoholu brali udział w ponad dwóch i pół

tysiąca wypadkach drogowych. Najliczniejszą grupę sprawców nieszczęść stanowili kierujący pojazdami. Alkohól, a raczej jego skutki, decydowały, że ludzie siedzący za kierownicą nie dostosowali prędkości do warunków ruchu drogowego, nie pamiętali o pieszych na przejściach, niebezpiecznie wyprzedzali inne pojazdy lub tracili orientację i nie zachowywali bezpiecznej odległości. Zmarło trzysta dwadzieścia siedem osób, ponad dwa tysiące siedemset zostało odwiezionych do szpitala.

Popatrzmy jeszcze na nieubłagane statystyki. Do największej ilości wypadków dochodziło w weekendy. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z wakacjami czy też nie, wszystkie rozgłosnie radiowe i wiadomości telewizyjne zaczynają się od podawania przerażającej liczby złapanych kierowców w miniony weekend. Słuchając o tych szokujących danych zastanawiam się, ile osób nie zostało złapanych. Marną też pociechą jest dla mnie informacja, że liczba złapanych pijanych kierowców maleje z roku na rok.

Trzeba też przyznać, że z alkoholem zawsze był poważny problem. Już w zamierzchłych czasach ludzie dobrze zdawali sobie sprawę z negatywnych skutków picia alkoholu. Już w starożytności pisano, że pijąc alkohol człowiek znajduje się w najgorszym z możliwych stanów, traci bowiem świadomość i kontrolę nad czynami.

Z drugiej zaś strony nie wyobrażano sobie świata bez alkoholu. Nie kto inny, jak sam Platon stwierdził, że

Użytkownicy dróg, nie tylko kierowcy, będący pod wpływem alkoholu brali udział w ponad 2500 wypadkach drogowych

W wyniku tych wypadków zmarło trzysta dwadzieścia siedem osób, ponad dwa tysiące siedemset zostało odwiezionych do szpitala

mądrym człowiekiem był ten, co wynalazł alkohol. Wiedząc, że jest on szkodliwy zawsze ważyli trunki. Świadczą o tym pozostałości alkoholu w chińskich stojakach garncarskich odnalezionych w Chinach. Nomen omen wyprodukowane zostały siedem tysięcy lat przed naszą erą. Niemal dwa tysiące lat przed naszą erą Grecy zakładali winnice, aby z otrzymanych owoców wyrabiać upajający trunk. Służył nie tylko dla zabawy, ale i był używany jako ofiara dla bogów. W całym regionie śródziemnomorskim można było używać wina za walutę.

Nie wiem, czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie świat bez alkoholu? Zniknęłyby przecież dowcipy i intrygujące powiedzenia na jego temat. Chociażby takie, jak słowa dobrze znanego amerykańskiego aktora Denisa Martina. Stwierdził, że wolałby mieć przed sobą jakąś butelkę alkoholu niż widzieć lobotomii przedczołowej.

Tym co nie pamiętają, chodzi o aktora, który w klasycznym westernie Rio Bravo gra pijaczynę nie mogącego przez długi okres czasu dać sobie rady z alkoholem. Jeśli zaś chodzi o lobotomię, to rzecz dotyczy chirurgicznej metody leczenia schizofrenii polegająca na inwazyjnej ingerencji w korę przedczołową. Nie chcąc podawać przykładów z naszej rodzimej literatury, być może z pewnym zdziwieniem przypomnę, że nawet mały książę w swoich podróżach z planety na planetę spotyka na swojej drodze pijaka. Pijąc alkohol starał się zapomnieć o tym, że wstyd mu przynosi jego nadużywanie. Koniec końców powiem, że nigdy nie wyeliminujemy alkoholu z naszego życia.

Zawsze znajdują się ludzie siadający za kółkiem pod wpływem alkoholu. Ograniczają ich liczbę - ale nie wyeliminują - szokujące zdjęcia, pouczenia Kościoła i inne wstrząsające terapie. Być może pomoc jest w pasażerach, którzy potrafią odebrać kluczyki pijanemu kierowcy idącemu chwiejnym krokiem do swojego pojazdu. Nie zmienia to faktu, że jestem za bezwzględnym traktowaniem ludzi nadużywających alkoholu i kierujących pojazdami.

Arkadiusz Rogowski
arkadiusz.rogowski@polskaiexpress.pl

Społeczeństwo

98 proc. młodych Polaków chce mieć dzieci, ale nie ma to przełożenia na liczbę rodzących się dzieci, zatem są gdzieś bariery, które nie pozwalają na podjęcie decyzji o dziecku - mówi Marlena Małag, minister rodziny i polityki społecznej.

Wskaźnik dzietności wyniósł w ubiegłym roku 1,38, co oznacza, że 1000 kobiet w wieku rozrodczym (15-49 lat) urodziło 40 dzieci. To daleko od poziomu, który gwarantuje zastępowalność pokoleń, czyli 2,1 (62 dzieci).

To fakt. Wskaźnik dzietności w Polsce jest niesatysfakcjonujący. Tymczasem polityka prorodzinna przez lata była w Polsce zaniedbywana. Dopiero rząd PiS rozpoczął wdrażanie systemowych rozwiązań na rzecz polskich rodzin. Wprowadziliśmy m.in. programy: Rodzina 500 plus, Dobry Start, Mama 4 plus, które przywróciły godność rodzinom, poprawiły ich sytuację finansową, ale także jednak pozytywnie wpłynęły na demografię. Działa także program Maluch plus, dzięki któremu rozwija się sieć instytucji opieki nad dziećmi do lat 3, na który od początku naszych rządów przeznaczaliśmy już ponad dwa miliardy sto milionów złotych.

Ale pomimo wprowadzenia tych wszystkich programów wskaźnik dzietności spada.

W 2015 roku, kiedy powstał rząd PiS, współczynnik dzietności był na poziomie 1,29. Na jakim poziomie byłby dziś, gdybyśmy nie zaczęli realizować kompleksowej polityki prorodzinnej? Co więcej, na współczynnik dzietności ma wpływ o wiele więcej czynników niż najlepsze na-

Małag: Będą pieniądze na wychowanie dzieci

wet programy społeczne. Jednym z głównych jest liczba kobiet w wieku rozrodczym, a ta spada (między rokiem 2015 a 2020 o ponad 320 tys.). A mimo to każdego roku, od kiedy został wprowadzony Program Rodzina 500 plus, w Polsce rodziło się kilkadziesiąt tysięcy dzieci więcej niż zakładała prognoza GUS z 2014 r. A wzrost współczynnika dzietności nastąpił mimo spadku liczby kobiet w wieku rozrodczym. Poza tym, chcąc wpływać na wskaźniki demograficzne, potrzebne są działania długofalowe, pięć lat to o wiele za mało, żeby odwrócić obecny trend.

Rozwiązania długofalowe, czyli?

Czyli takie, które będą konsekwentnie realizowane co najmniej w ciągu minimum jednego pokolenia. Dlatego opracowaliśmy Strategię Demograficzną 2040, w sprawie której do końca września prowadzimy szerokie konsultacje. Rozwiązania zawarte w tym dokumencie będą sukcesywnie wdrażane. Strategia Demograficzna 2040 powstała na podstawie analizy badań i ponad 650 źródeł naukowych także z zagranicy. Badania pokazały m.in., co jest potrzebne młodym ludziom, żeby zakładali rodziny i podejmowali decyzje prokreacyjne. Okazuje się, że istotna jest stabilność zatrudnienia, mieszkanie, opieka zdrowotna, a także opieka nad dzieckiem do lat 3. Ważna jest także polityka podatkowa. 98 proc. młodych Polaków chce mieć dzieci, ale nie ma to przełożenia na liczbę rodzących się dzieci, zatem są gdzieś barie-



Marlena Małag: W wychowywaniu i utrzymaniu dzieci rodzicom pomagają takie programy jak Rodzina 500 plus, Dobry Start, Maluch plus, a wkrótce dojdzie Rodzicielski Kapitał Opiekuńczy

ry, które nie pozwalają na podjęcie decyzji o dziecku. Strategia Demograficzna wskazuje te bariery, a rozwiązania, które mają pomóc zrealizować Polakom marzenia o dzieciach, znajdują się już w Polskim Ładzie i będą wdrażane.

Młodych ludzi na pewno interesuje, kiedy i co dokładnie będzie wdrażane?

Większość rozwiązań jest w pakiecie na pierwsze 100 dni obowiązywania Polskiego Ładu, czyli od 1 stycznia 2022 roku, a niektóre jeszcze w IV kwartale tego roku. Chodzi o mieszkanie z zagwarantowanym przez państwo wkładem własnym do 100 tys. zł. Kiedy urodzi się drugie lub

kolejne dziecko, wkład własny będzie częściowo umarzany. Ponadto uproszczenie procedur związanych z budową małego domu do 70 metrów kwadratowych czy boni mieszkaniowy dla rodziców, którzy planują zmianę mieszkania na większe z uwagi na planowane kolejne dzieci. Będą też zintensyfikowane i rozszerzane działania dotyczące opieki nad dziećmi do lat 3. Badania pokazują, że nie wszyscy rodzice chcą korzystać z opieki instytucjonalnej. Budżet programu Maluch+ z obecnych dziś 450 mln zł od 2022 roku wzrośnie do prawie 1,5 mld zł rocznie. Ale wprowadzimy też całkowicie nowy instrument - Rodziny Kapitał Opiekuńczy -

od 1 stycznia 2022 roku. To 12 tys. zł na drugie i kolejne dziecko między 12 a 36 miesiącem życia dziecka. Rodzice będą mieli możliwość swobodnego wydatkowania tych środków.

Na rynku pracy działa już ochrona mam. Teraz rząd planuje wprowadzić także zakaz zwalniania ojców. Jak to ma wyglądać?

Jesteśmy świadomi, że nie będzie to łatwe, bo mamy pewne przyzwyczajenia ochrony kobiet i matek. Proponujemy wprowadzenie ochrony dla ojców w ciągu 1. roku życia dziecka (w przypadku małżeństw ta ochrona obowiązywałaby od momentu zajścia żony w ciążę). Pro-

ponujemy również, by rodzicom dzieci do 4. roku życia rozszerzyć możliwość elastycznej, zdalnej czy hybrydowej pracy.

Ale czy to nie utrudni znalezienia pracy osobom w wieku około 30 lat?

Mówiąc o polityce prorodzinnej, pronatalistycznej, musimy patrzeć bardzo szeroko. To musi być koalicja: rządu, samorządów, organizacji pozarządowych i właśnie pracodawców. W Strategii Demograficznej 2040 znajduje się propozycja, żeby pracodawca miał obowiązek informowania swoich pracowników o przysługujących im uprawnieniach jako rodzicom. Jeśli zaczniemy wspólnie z pracodawcami tworzyć kulturę pracy przyjazną rodzinie, to przyniesie ona korzyści także pracodawcom. Są badania potwierdzające pozytywny wpływ rozwiązań prorodzinnych stosowanych w firmach na wydajność pracy. Ale nie tylko, ponieważ pracodawca, tworząc odpowiednie warunki dla rodziców, sprawia, że jako pracownicy bardziej utożsamiają się oni z firmą, zatem to zapobiega również odejściom specjalistów.

Od czasu do czasu powraca też pomysł powiązania wysokości emerytury z liczbą dzieci.

Podczas tworzenia Strategii Demograficznej 2040 braliśmy pod uwagę różne rozwiązania, w tym powiązanie wysokości emerytury rodziców z zarobkami dzieci. W niektórych państwach stosowany jest procentowy udział w emeryturach rodziców. W tym momencie decydujemy się jednak na konkretne rozwiązania w ramach polityki mieszkaniowej, podatkowej, stabilnej pracy, opieki nad dziećmi do lat 3. i programów zdrowotnych. Zakładamy, że dzietność wzrośnie do 2040 roku do co najmniej 1,8. Z czasem powinny być wprowadzane kolejne prorodzinne rozwiązania.

Najwyższa Izba Kontroli policzy pielęgniarki i położne

Służba zdrowia

Najwyższa Izba Kontroli sprawdzi, czy brak pielęgniarek jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa systemu ochrony zdrowia w Polsce.

Przedstawicielki samorządu i pielęgniarskich związków zawodowych spotkały się z Marianem Banasiem, prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Była to reakcja na ostatni raport, przedstawiony przez Naczelną Izbę Pielęgniarek i Położnych, wskazujący na strukturę wieku zatrudnionych pielęgniarek

i położnych z podziałem na województwa. Aż 63 120 polskich pielęgniarek (27 proc. zatrudnionych) przekroczyła już 60. rok życia i nabyła uprawnienia emerytalne. Kolejne 83 129 (35,8 proc.) to panie w wieku 51-60 lat, które w najbliższej dekadzie mogą odejść z zawodu. Niepokojące jest, że nie ma kto ich zastąpić - tylko ok. 30 tysięcy pielęgniarek nie ukończyło jeszcze 40 roku życia. Wniosek jest jednoznaczny - gdyby system opieki zdrowotnej nie opierał się na emerytach, to z powodu braku kadry aż 272 polskie szpitale musia-

łyby przestać przyjmować pacjentów.

Problem dramatycznego braku pielęgniarek potraktowany ma być przez NIK priorytetowo - jako jeden z elementów przygotowywanego Raportu o Stanie Państwa.

- Efekty pracy Zespołu Analizy Ryzyka, powołanego przez prezesa NIK, są przewidywalne - uważa Anna Czarniecka, przewodnicząca Okręgowej Rady Pielęgniarek i Położnych w Gdańsku. - Agenda naszego środowiska jest poparta trafną diagnozą i wnikliwą obserwacją i raport NIK to po prostu po-

twierdzi. Bardzo bym przy tym chciała, aby ta sprawa nie była traktowana jako polityczna. Chodzi o zapewnienie bezpiecznych warunków i norm pracy, czyli właściwych obsad dyżurowych pielęgniarek i położnych. Ma to bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo pacjentów i ciągłość realizacji opieki pielęgniarskiej niezbędnej chorym. Obecnie, po latach przeciągania liny pomiędzy naszym środowiskiem a kolejnymi ekipami władzy, powoli dochodzi do jej rozerwania. W efekcie zmierzamy do rzeczywistości, która będzie przy-

pominać lej po bombie. Tą bombę, z opóźnionym zapłonem, podłożono już dawno temu, ale nikt nie miał wystarczająco dużo politycznej woli, aby pomóc nam ją rozbroić.

Przedstawicielka samorządu pielęgniarskiego przypomina, że braki kadrowe odbijają się nie tylko na bezpieczeństwie hospitalizowanych pacjentów. Katastrofa objęła także długoterminową opiekę domową. Już teraz brakuje chętnych do pracy. Ucierpią na tym pacjenci, którzy pozbawieni opieki domowej będą trafić do szpitali. Równie trudna

sytuacja jest w tzw. medycynie szkolnej.

Czy jest jakaś szansa na wyjście z impasu? Pomysł Ministerstwa Zdrowia, by szpitale wsparły pielęgniarki zza wschodniej granicy, głównie z Ukrainy, nie przyniósł spektakularnych efektów. Mimo zmian przepisów, pozwalających na uproszczonej dostęp do zawodu, chętnych nie ma zbyt wiele. Przyczyną są nadal duże wymagania i niekonkurencyjne - w porównaniu np. z niemieckimi ofertami - płace.

Dorota Abramowicz

Pijani traktorzyści wyruszyli na drogi. Rekordziści mają po 4 promile

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan
@polskappress.pl



Stop pijanym kierowcom!

Są bohaterami memów i filmików w mediach społecznościowych. Bawią internautów, ale w realnym świecie stanowią nawet śmiertelne zagrożenie. Lipiec to czas, w którym pijani traktorzyści znów gromadnie wyruszają na drogi.

Sześć miesięcy więzienia - to wyrok, który niedawno usłyszał Andrzej M. spod Torunia. Ten traktorzysta 28 lipca 2020 r. wpadł i został usunięty z publicznej drogi pod Toruniem przez policjantów w niecodziennych okolicznościach. Pijane jazdy skuteczniał już wcześniej, za co odebrano mu prawo jazdy i orzeczono zakaz kierowania wszelkimi pojazdami na trzy lata. Nakazano mu też leczyć się odwykowo. Nad wszystkim czuwać miał kurator.

Ten 28 lipca minionego roku przybył sprawdzić postępy Andrzeja M. i srodze się zawiódł. Zamiast rozmawiać z podopiecznym o leczeniu, musiał wzywać policję, bo mężczyzna pod wpływem alkoholu kursował ciągnikiem po publicznej drodze...

Andrzej M. rekordzistą promilowym nie jest. Miał „zaledwie” około 1,7 promila alkoholu. Rekordziści mają ich nawet po blisko cztery! Najgroźniejsi okazują się jednak ci, których pijane kursy po ogólnodostępnych drogach kończą się wypadkami. Bywa, że śmiertelnymi.

Zaledwie 22 lata, a już dożywotni zakaz kierowania

Aż trzech chłopów było potrzeba, by zatrzymać pijanego traktorzystę, który szarżował na drodze w rejonie wsi Mchy (gm. Książ Wielkopolski), w maju tego roku. Jechał agresywnie, środkiem drogi, nie dawał się wyprzedzić, ominąć. Okiełznać postanowili go policjant, strażak i pracownik salonu samochodowego - prywatnie koledzy, którzy akurat mieli czas wolny i widzieli, co się dzieje na drodze. Zajechali drogę ciągnikowi, zabrali kluczyki, wezwali policję i uniemożliwili ucieczkę traktorzyście, który był agresywny. Gdy na miejsce przybył patrol drogówki, stwierdzono, że młody traktori-



Gdy policjanci dostaną informację, że rolnik pijany jeździ traktorem po własnym polu, to często zatrzymują radiowóz w pobliżu i cierpliwie czekają. Interwenują, gdy rolnik skończy pracę i choć na chwilę wyjedzie ciągnikiem na drogę publiczną

zysta ma w organizmie prawie 3 promile alkoholu.

„Poza tym, po sprawdzeniu w policyjnych systemach informacyjnych, okazało się, że 22-latek z gminy Książ Wielkopolski, mimo młodego wieku, ma już orzeczony przez sąd w Jarocinie dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych, bowiem już wcześniej kierował w stanie nietrzeźwości” - poinformowała śremska komenda.

Za swój kolejny wyczyn 22-latek znów stanie przed sądem. Jakim zakazem tym razem Temida może go utemperować, skoro dożywotni lekceważył, trudno prognozować.

Staranował płot, a auto dostawcze wbił w ścianę

3,8 promila alkoholu we krwi - to wynik, którym „pochwalić” może się traktorzysta ze wsi Potok (powiat staszowski) w województwie świętokrzyskim. Pijanego rajdu, który wykonał w kwietniu tego roku, mieszkańcy wsi i policjanci długo pewnie nie zapomną.

Piątek, jakiś kwadrans po godzinie 19.00. Asfaltową drogą jedzie traktor. Nagle 44-latek kierowca traci panowanie nad maszyną, zjeżdża w bok i taranuje ogrodzenie posesji. Tutaj uderza w zaparkowane przed domem auto dostawcze. Z takim impetem, że dosłownie wbija je w ścianę!

Potem 44-latek zsunął się z ciągnika na ziemię. Nie był w stanie utrzymać równowagi - relacjonowała mł. asp. Joanna

Szczepaniak, oficer prasowa Komendy Powiatowej Policji w Staszowie.

Zasłabnięcie nie było skutkiem wypadku, ale alkoholowego upojenia. Traktorzyście fizycznie nic się nie stało. Możemy się tylko domyślać, że właściciela zniszczonego auta i domu nie usatysfakcjonowała sama sprawa karna w sądzie. W takiej sytuacji ma pełne prawo oczekiwać satysfakcji odszkodowawczej na drodze cywilnej.

Z widłami na... autobus.

Też można!

Przenieśmy się teraz na Lubelszczyznę. W czerwcu tego roku w lokalnej kronice wypadków zapisał się tutaj traktorzysta (pijany, a jakże) kursujący po drodze w miejscowości Żyrzyn, w powiecie puławskim. Czego dokonał?

29-letni kierowca wyjeżdżał ciągnikiem z posesji na drogę publiczną. Widłami zawadził o przejeżdżający autobus komunikacji miejskiej. Jak oświadczył potem policjantom, „wydawało mu się, że się wyrobi”. Pasażerowie mogą mówić o szczęściu, bo nikomu nic

Prowadzący traktor 45-latek ledwo trzymał się na nogach i nie umiał odpowiedzieć na pytania. Alkomat pokazał ponad 3,7 promila.

się nie stało. Zdarzenie zakwalifikowano ostatecznie jako kolizję.

Skąd tak fatalna ocena odległości, dokonana przez traktorzystę? Cóż, jak się okazało, miał w organizmie 1,4 promila alkoholu. I ten delikwent, jak każdy w podobnej sytuacji, będzie odpowiadał za spowodowanie kolizji i kierowanie pojazdem mechanicznym w stanie nietrzeźwości. Grozi za to kara pozbawienia wolności do lat 2 i grzywna. Prawo jazdy policjanci zatrzymali mu od razu.

Jednemu pijanemu na pomoc przybył drugi. Też na gazię!

Co dwie głowy, to nie jedna - głosi przysłowie. W tym przypadku jednak się nie sprawdziło. Historia wydarzyła się na początku tego roku, w Świętokrzyskiem. Dokładniej - na terenie gminy Piekoszów. Co się wydarzyło?

Styczeńowy czwartek, tuż po godzinie 16.00. Widoczność na drodze o tej porze jest już zimą średnia. To jednak wcale nie główny powód, dla którego tutejszy traktorzysta wjechał w peugeota.

Prowadzący traktor 45-latek ledwo trzymał się na nogach i nie umiał odpowiedzieć na zadawane przez policjantów pytania. Policyjny alkomat miał po analizować - traktorzysta wydmuchał ponad 3,7 promila - przekazywał mediom Karol Macek, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Kielcach.

Interwencji mundurowych na drodze to jednak nie zakończyło. Na pomoc pijanemu traktorzyście przybył bowiem drugi traktorzysta. 41-letni kolega również nie miał świeżego oddechu. - Tego mężczyznę funkcjonariusze już dobrze znali, bowiem miał dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Jakby tego było mało, także i on wcześniej raczył się alkoholem. Wydmuchał 0,3 promila - kontynuował oficer prasowy.

Tym to sposobem do sądu trafiły dwie sprawy: starszego



rolnika za kierowanie w stanie nietrzeźwości i spowodowanie kolizji drogowej oraz młodszego, za złamanie sądowego zakazu i jazdę po spożyciu alkoholu.

Bez żartów. Pijani traktorzyści sieją śmiertelne żniwa

W historii polskich wypadków z udziałem traktorzystów zapisał się i ten makabryczny, z 2008 roku, do którego doszło we wsi Krzemienna (Świętokrzyskie). Co prawda nie wydarzył się na drodze, ale jego okoliczności były wstrząsające. 8 maja 2008 roku 68-letni gospodarz z tej wsi poszedł na pole z wnuczkami. Chciał sprawdzić, czy posiane wcześniej zboże nadaje się do oprysku. Z tego pola już żywy nie wrócił. „Babcu, babcu!!!” - z takim krzykiem przybiegł do domu pięcioletni wnuczek. Niewiele więcej był pewnie z siebie wydusić. Okazało się, że na pole wjechał również traktorem 31-letni zięć rolnika. Najechał teścia, ten zginął. Przybyli na miejsce policjanci odnotowali, że kierowca miał 3 promile alkoholu we krwi.

Jakie kary grożą za pijackie rajdy? Oto, co mówi prawo

Przypomnijmy, że to od poziomu alkoholu w organizmie kierowcy zależy, czy mamy do czynienia z przestępstwem jazdy w stanie nietrzeźwości, czy też wykroczeniem jazdy po użyciu alkoholu. Jeżeli ilość alkoholu w jednym decymetrze sześciennym wydycha-

nego powietrza wynosi od 0,1 mg do 0,25 mg (od 0,2 do 0,5 promila), to mamy do czynienia z wykroczeniem. Kierowca, u którego ilość alkoholu przekracza 0,25 mg w jednym decymetrze sześciennym (0,5 promila), odpowiadać już będzie za przestępstwo. „Przestępstwo jazdy w stanie nietrzeźwości” zostało określone w art. 178a Kodeksu karnego. Dotyczy także traktorzysty na drodze publicznej.

Zgodnie z paragrafem 1 art. 178a kk, ten kto znajdując się w stanie nietrzeźwości lub pod wpływem środka odurzającego, prowadzi pojazd mechaniczny w ruchu lądowym, wodnym lub powietrznym, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2. Wobec kierowcy, który dopuścił się takiego popełnienia, sąd obowiązkowo orzeknie, zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów albo pojazdów określonego rodzaju na okres nie krótszy niż 3 lata.

Zaostrzona odpowiedzialność karna przewidziana jest dla kierowcy recydywisty, czyli osoby karanej już za nietrzeźwą jazdę lub tej, która popełniła to przestępstwo w okresie obowiązywania zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczonego w związku ze skazaniem za przestępstwo (art. 178a par. 4 kk). Taki sprawca podlegać będzie karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5, a także zostanie wobec niego orzeczony dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych.

Pijany po własnym polu jeździć może?

Dyskusje i spory co jakiś czas wzbudzają przypadki pijanych traktorzystów, którzy jeżdżą po polu. Własnym lub cudzym, bo i takie historie są znane. Według obrońców takich delikwentów, skoro pole nie jest drogą publiczną, to nie ma mowy o stwarzaniu zagrożenia w ruchu lądowym. Wniosek? Policja nic nie może zrobić.

Tymczasem policyjne kroniki pełne są skutecznych zatrzymań takich traktorzystów. Często mundurowi wzywani są na interwencję. „Sąsiad od godziny jeździ po polu pijany ciągnikiem” - słyszą w słuchawce telefonu. Policjanci jadą na miejsce i wyczekują, aż gospodarz będzie z pola zjeżdżał. Zatrzymywany jest od razu, gdy tylko na drogę publiczną wkroczy. Wtedy sprawa jest już jasna. ©

Bańka? Według deweloperów nie ma żadnej bańki. Mieszkania będą drożeć

Dla większości Polaków mieszkania są dziś najdroższe – i najbardziej niedostępne – w historii. Ale dlareszty są najtańsze i najłatwiej osiągalne. Ci drudzy, lepiej zarabiający, kupują lokale jak szaleni. Dla siebie, dla dzieci, dla wnuków, ale najczęściej – po to, by ulokować nadmiar gotówki. Ten nadmiar jest większy niż kiedykolwiek, a alternatywne formy oszczędzania przy pięcioprocentowej inflacji wydają się o piekło mniej korzystne

Zbigniew Bartus

zbigniew.bartus@polskapress.pl



Nieruchomości

Na pierwszy rzut oka świat oszalał. Kilka-naście miesięcy temu pandemia wymiotła z dużych miast wszystkich wynajmujących mieszkania studentów i uczniów oraz turystów korzystających z najmu krótkoterminowego w ramach Airbnb czy Booking.com – i teoretycznie, z braku popytu, stawki za wynajem, a tym samym również ceny samych mieszkań, powinny gwałtownie spaść. Nic takiego się nie stało. Przeciwnie: ceny mieszkań stale rosną – i to mimo tego, że deweloperzy stawiają nowe jak szaleni. Jest prawdopodobne, że dzięki temu Polska pobije w tym roku ilościowy rekord z czasów Gierka.

Z czerwcowego raportu Expandera i Rentier.io wynika, że najwyższe w historii ceny za metr kw. mieszkania pojawiły się aż w 11 z 17 monitorowanych miast. – Na szczególną uwagę zasługuje Kraków, gdzie median cen właśnie przekroczyła 10 tys. zł za metr kw. To oznacza skok rok do roku aż o 16 proc.! Minimalnie większy wzrost odnotowaliśmy tylko w Gdyni i Sosnowcu, ale w tym ostatnim nawet po podwyżce za metr trzeba zapłacić dwa razy mniej niż w stolicy Małopolski – mówi Jarosław Sadowski z Expandera.

Trzeba tu wyjaśnić, że mediana uchodzi za wskaźnik o wiele bardziej miarodajny od średniej ceny: dzieli występujące w danym mieście stawki na dwie równe części – połowa mieszkań ma ceny ofertowe wyższe od mediany, a połowa – niższe.

Kilkunastoprocentowe wzrosty cen mieszkań w skali roku eksperci odnotowali również w Białymstoku, Lublinie, Szczecinie i Radomiu. W Rzeszowie, Warszawie, Łodzi, Częstochowie i Wrocławiu

stawki wzrosły o ponad 5 procent, a więc powyżej inflacji. Zjawisko ma zatem charakter ogólnopolski, ale stawki w Warszawie (mediana 11,5 tys.), Krakowie (10,1 tys.) i Trójmieście (prawie 10 tys.) wydają się wielu kosmiczne – i przegrzane. Część publicystów ekonomicznych pisze wręcz o rosnącej za sprawą spekulantów bańce, która – jak to bańka – w końcu pęknie. I wtedy ceny rzekomo spadną. – Nie ma żadnej bańki. Są liczne obiektywne okoliczności, z powodu których ceny rosną i prawdopodobnie będą dalej rosnąć, a w każdym razie – na pewno nie spadną – komentuje Marek Bolek, prezes ogólnopolskiego Stowarzyszenia Budowniczych Domów i Mieszkań.

Drogo, coraz drożej...

Jarosław Sadowski zwraca uwagę, że roczne tempo wzrostu cen jest coraz szybsze. – W analizowanych przez nas 17 miastach podwyżka wyniosła średnio 9 proc., gdy jeszcze miesiąc temu było to 7 proc. Drastycznie spadła przy tym liczba nowo opublikowanych ogłoszeń o sprzedaży: było ich tylko 31,2 tys., czyli najmniej, odkąd tworzymy nasze raporty. Jeszcze miesiąc temu można było wybierać wśród 54,5 tys. świeżych ofert. Ów mocny spadek dotyczy zarówno mieszkań nowych, jak i używanych. Słowem: ludzie postanowili zatrzymać mieszkania, licząc na dalszy wzrost ich cen – tłumaczy ekspert.

Równocześnie coraz więcej ludzi pyta go, kiedy wreszcie ceny spadną. – Trudno odpowiedzieć, ale wydaje się, że jeden z czynników nakręcających wzrosty w ostatnim czasie zaczyna się wyczerpywać: chodzi o ceny kredytów hipotecznych, które w pandemii spadły do najniższych poziomów w historii, ale obecnie wracają do poziomu sprzed kilkunastu miesięcy – wyjaśnia Sadowski.

Kupując mieszkanie na kredyt ludzie sprawdzają nade wszystko, jaką miesięczną ratę przyjdzie im płacić. W przypadku 50-metrowego mieszkania w Krakowie w lutym 2020 r.

było to (przy 10-procentowym wkładzie własnym) ok. 2150 zł i dzisiaj jest mniej więcej tyle samo. Jeśli ta suma wyraźnie wzrośnie (np. z powodu zwiększenia marży przez banki lub podniesienia stóp procentowych przez Radę Polityki Pieniężnej), może to – zdaniem eksperta Expandera – zniechęcić klientów do kupowania mieszkań na kredyt i nieco przyhamować wzrost cen.

– Te nadzieje wydają się raczej płonne, a to dlatego, że większość mieszkań kupuje się jednak za gotówkę. Cena kredytu nie odgrywa tu zatem roli – odpowiada Marek Bolek.

Poza tym na razie Polacy walą do banków drzwiami i oknami: od maja zaciągają średnio 2,5 tys. kredytów (o wartości ponad 800 mln zł) hipotecznych... dziennie. To dwa razy więcej niż przed rokiem.

Równocześnie na polskim rynku pojawili się potentaci nabywający mieszkania hurtowo. Pod koniec czerwca duński fundusz Nordic Real Estate Partners, wyspecjalizowany w nabywaniu i wynajmie mieszkań, wydał 100 mln euro na zakup 1 071 lokali na warszawskim Bemowie i Służewcu (będą one powstawać w najbliższych latach). Poinformował przy tym, że ma do wydania w Polsce pięć razy więcej pieniędzy i do końca roku 2025 chce u nas mieć jakieś... 10 tys. mieszkań. Podobne inwestycje fundusz poczynił już w Danii, Finlandii, Szwecji i Norwegii.

Duńczycy nie są nad Wisłą pierwsi. W maju szwedzki fundusz Heimstaden Bostad zawarł z Budimeksem Nieruchomości umowę kupna 2,5 tys. mieszkań z przeznaczeniem na wynajem. Cena: 1,4 mld zł. Wcześniej Szwedzi zainwestowali 400 mln zł w 707 warszawskich mieszkań od Marvipolu.

Ceny mieszkań stale rosną. Jest prawdopodobne, że dzięki temu Polska pobije w tym roku ilościowy rekord z czasów Gierka

Ekspersi przyznają, że taki hurtowy wykup lokali ogranicza podaż, a więc – przy wysokim i wciąż rosnącym popycie – podbija ceny. Czy do podobnych transakcji może dojść również w innych miastach?

– To tylko kwestia czasu. Tego typu decyzje będą całkiem zrozumiałe. Niewykluczone zresztą, że już zapadły – odpowiada Marek Bolek.

Skąd ten wzrost i ile potrwa

Na pierwszy rzut oka inwestowanie w mieszkania – zwłaszcza na wynajem – w sytuacji, gdy nie ma studentów i zagranicznych turystów (ci ostatni zapewne nie wrócą na znany sprzed pandemii skalę w ciągu pięciu czy ośmiu lat; część nie wróci nigdy), może się wydawać absurdalne. Tym bardziej, że z powodu pandemii w Polsce urodziło się rekordowo mało dzieci i zawarto najmniej małżeństw od dekad; zarazem rekordowo dużo ludzi umarło. Prognozy demografów na najbliższe lata są raczej pesymistyczne, co winno studzić popyt na mieszkania. Ekspersi zwracają jednak uwagę na wiele innych czynników sprawiających, że zakup lokum nabiera sensu.

Przede wszystkim do wyobraźni przemawia... dotychczasowy wzrost cen. Krakowskie 16 procent w skali roku to solidny zysk zabezpieczający wolną gotówkę przed inflacją – i 16 razy więcej niż oferują dziś na lokatach najbardziej hojne banki. To również zdecydowanie więcej niż można wycisnąć z obligacji skarbu państwa (te ledwie zabezpieczają przed inflacją) oraz relatywnie bezpiecznych funduszy akcji.

– Dlatego coraz liczniejsze grono ludzi w ogóle nie patrzy na sytuację na rynku najmu, na aktualne stawki, ani na to, czy są turyści lub studenci, czy ich nie ma. Wielu klientów zakłada wręcz, że ich nowe mieszkanie, czy też kilka mieszkań, będzie stało puste. Bo przecież i tak wartość zainwestowanych pieniędzy wzrośnie jak nigdzie – opisuje prezes SBDiM.

Ekspersi NBP szacują, że takie z założenia niewynajmo-

wane (puste) mieszkania, nabywane wyłącznie w celu późniejszego odsprzedaży z pożądanym zyskiem, stanowią już 11 procent nowo budowanych lokali. Krytycy tego zjawiska mówią o „nawalnicy spekulantów”. W opinii Marka Bolka to „puste stanie” w wielu wypadkach nie potrwa jednak zbyt długo: właściciele w końcu zaczną zarabiać także na wynajmie.

– Przesłanek, by tak sądzić, jest wiele. Po pierwsze: już jesienią wrócą studenci. Po drugie: ciągną coraz liczniej specjaliści z całego świata, zatrudnieni w globalnych firmach technologicznych i centrach obsługi biznesu. Muszą gdzieś mieszkać i mają wysokie wymagania. Po trzecie: wrócą podróżnicy turystyczne i biznesowe, więc i ten ruch będzie się odbudowywał; owszem, potrwa to pewnie kilka lat, ale też inwestycje mieszkaniowe nie są czynione w krótkiej, tylko raczej w długiej perspektywie – wylicza Marek Bolek.

Zwraca przy tym uwagę, że część Polaków zarabia bardzo dobrze i może się spodziewać kolejnych podwyżek płac, a to dlatego, że małopolska gospodarka rozwija się w tempie imponującym nie tylko w skali Polski, ale i całej Unii Europejskiej. Jednocześnie cały czas brakuje pracowników – fachowców i specjalistów. Osoby o dochodach powyżej 100 tys. zł nie myślą już po prostu o mieszkaniu, tylko o fajnym mieszkaniu. Ładnym, komfortowym, z wszelkimi udogodnieniami (typu winda w dwupiętrowym bloku i szerokie korytarze), dobrze położonym i skomunikowanym, zanurzonym w zieleni, przyjaznym dla całej okolicznej natury.

– Bardzo szybko przybywa osób, które chcą podnieść standard swojego lokum, wynieść się z gorszej lokalizacji czy też gorszego standardu do znacząco lepszych warunków, przy czym owe warunki są coraz bardziej wyśrubowane. Myśli tak już całkiem spora grupa klientów. Kolejną są młodzi świetnie zarabiający specjaliści i menedżerowie. Młode pokolenie ma zupełnie inne wy-

mogi, związane choćby z trendami eko. A dostępnych na rynku mieszkań spełniających owe wysokie wymagania jest wbrew pozorom niewiele. Trzeba je dopiero wybudować. A deficyt zawsze wpływa na ceny – mówi Marek Bolek.

Dodaje, że w pandemii wzrost gospodarczy okazał się w Polsce wyższy niż w większości krajów Europy Zachodniej, o czym zdecydowała przede wszystkim umiejętność polskich przedsiębiorców do funkcjonowania w niesprzyjających i zmiennych warunkach. W dodatku widać dziś wyraźnie, że struktura gospodarcza jest wyjątkowo korzystna, zróżnicowana, z relatywnie dużym udziałem przemysłu, a przede wszystkim – z tysiącami miejsc pracy opartych na wiedzy i wysokich technologiach – a przez to odporna na kryzysy i ekspansywna (dynamicznie rośnie eksport towarów i usług). W efekcie mamy wyższe niż przed pandemią zatrudnienie, a wynagrodzenia wzrosły rok do roku o ponad 12 proc. To rekord Polski i jeden z najlepszych wyników w Unii.

– Zaczynamy celować w standardy już nie południowo-europejskie, lecz niemieckie. A to oznacza wyrównywanie także cen mieszkań. Bo czy Kraków jest dziś mniej atrakcyjnym miejscem do życia niż choćby Hamburg? Tymczasem w Hamburgu mieszkania kosztują wciąż znacznie więcej. Owszem, zarobki też są jeszcze inne – ale jedne i drugie będą się wyrównywać. Przecież o tym zawsze marzyliśmy – komentuje szef SBDiM.

Na razie to porównanie wydaje się dla większości frustrujące. Prównajmy Hamburg i Kraków. Za średnią pensję hamburską (3,8 tys. euro brutto) można kupić 0,9 metra kw. przeciętnego mieszkania w Hamburgu, a za średnią krakowską (7 tys. zł brutto) – niecałe 0,7 m kw. przeciętnego mieszkania w Krakowie. Tak naprawdę jednak owe średnie nie oddają prawdy i nie ułatwiają odpowiedzi na pytanie, dlaczego mamy do czynienia z boomem mieszkaniowym.



Dorota Witt
dorota.witt@polskapress.pl

Ludzie

Praca zdalna ma być regulowana w kodeksie pracy. Projekt nie jest wolny od wad. Pytamy o nie Karolinę Niedzielską, specjalistkę ds. prawa pracy, ubezpieczeń społecznych i prawa oświatowego.

Niedawno Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii z pompą ogłosiło skierowanie do konsultacji społecznych projektu dotyczącego pracy zdalnej. Jeśli zmiany wejdą w życie, czeka nas rewolucja?

Właśnie to „jeśli” chciałyby podkreślić. To projekt na etapie opiniowania, m.in. przez związki zawodowe. Nie wiadomo dziś, czy proponowane przepisy będą obowiązywały w takiej formie i czy w ogóle wejdą w życie. Ale przyjrzyjmy się tym propozycjom. Przepisy regulujące pracę zdalną mają w kodeksie pracy zastąpić te o telepracy...

Tylko czy te propozycje są skonstruowane tak, by przepisy o pracy zdalnej nie stały się martwymi przepisami, tak jak martwymi są przestarzałe regulacje dotyczące telepracy?

Nie nazwałabym ich martwymi, bo są pracodawcy, którzy z nich korzystają, choć jest ich stosunkowo niewiele. Projekt ustawy wprowadza definicję pracy zdalnej: to praca wykonywana całkowicie lub częściowo w miejscu zamieszkania pracownika lub w innym miejscu ustalonym przez pracownika i pracodawcę, w szczególności z wykorzystaniem środków bezpośredniego porozumiewania się na odległość. Definicja jest więc podobna do tej znanej z tarczy antykryzysowej 1.0. Zawiera jednak znaczące różnice.

Daje np. większą swobodę w wyborze miejsca wykonywania pracy zdalnej.

Tak, ale po kolei: praca zdalna może być wykonywana całkowicie lub częściowo poza siedzibą firmy, a więc projekt dopuszcza hybrydowy model pracy. To bufor bezpieczeństwa dla tych osób, które w czasie pandemii skarżyły się, że nie wszystkie służbowe obowiązki są w stanie wykonać z domu, i dla pracodawców, którzy chcą np. co jakiś czas spotkać się w biurze w pełnym gronie z pracownikami. Już w czasie pandemii niektóre firmy wprowadzały

Będziemy mogli pracować, wylegując się na Zanzibarze?



Już w czasie pandemii niektóre firmy wprowadzały mieszany system pracy. Pracownicy przez kilka dni w tygodniu pracowali w biurze, przez kilka - w domu

mieszany system pracy - pracownicy przez kilka dni w tygodniu pracowali w biurze, przez kilka - w domu. Definicja wskazuje też, że praca zdalna może być wykonywana w miejscu zamieszkania pracownika lub w innym miejscu ustalonym przez pracownika i pracodawcę. To z kolei urzeczywistnia marzenia niektórych o tym, by pracować w firmie z siedzibą w innym kraju, bez wychodzenia z domu albo o tym, by pracować w polskiej firmie, leżąc na plaży na Zanzibarze, bo praca z domu jest zgodna z definicją tylko jedną z możliwości. Warunkiem jest ustalenie tego z pracodawcą.

A więc jeśli ustaliliśmy z szefem, że pracujemy z domu, ale w pewien słowny dzień zachce nam się wybrać z laptopem nad jezioro (albo w deszczowy - do kawiarni), musimy te uzgodnienia przeprowadzić na nowo?

Właśnie tak. I tu dochodzimy do kluczowej kwestii kontroli pracownika przez pracodawcę. Przepisy na temat pracy zdalnej wprowadza

Co, jeśli ustalonym miejscem pracy jest miejsce zamieszkania, a pracownik mieszka z teściami? Czy pracodawca ma prawo wejść do domu dla kontroli?

dzone z uwagi na pandemię koronawirusa nie regulowały tej kwestii. A to rodziło problemy. Zdarzały się na przykład sytuacje, kiedy pracownik w czasie pracy spożywał alkohol albo wychodził na zakupy, a pracodawca nie miał jak tego sprawdzić. Projekt zakłada, że pracodawca będzie miał możliwość i narzędzia kontroli. Będzie mógł zdalnie lub osobiście sprawdzić, czy pracownik przebywa w ustalonym miejscu i tam wykonuje obowiązki służbowe w godzinach pracy. Ale tworzy się luka, na którą już zwracają uwagę m.in. związki zawodowe. Bo co, jeśli ustalonym z pracodawcą miejscem pracy jest miejsce zamieszkania, a pracownik mieszka z teściami? Klasyczny układ: oni na dole, młode małżeństwo na górze. Czy w takiej sytuacji pracodawca ma prawo wejść do domu, by skontrolować pracownika? Musiałby przecież naruszyć mir domowy jego teściów, którzy nie są jego pracownikami. Nie mają obowiązku wpuścić osób kontrolujących do swojego domu, a - w myśl projektu - pracownik nie musi mieć tytułu prawnego do nieruchomości (ani go przedkładać szefowi), w której wykonuje pracę zdalną, ani uzyskać zgody właściciela, na to, że w wynajętym czy użyczonym mieszkaniu pracuje zdalnie. To zresztą byłoby chyba za daleko idącą ingerencją, sprzeczną z ustawą o ochronie danych osobowych. Na pewno trzeba więc

ten zapis doprecyzować, pytanie brzmi: jak konkretnie to zrobić, by nie naruszać niczych praw? Co ważne, kontrola pracownika może odbyć się wyłącznie w godzinach pracy, nie może być tak, że szef przejeżdża wieczorem w pobliżu i wpada, by sprawdzić, co robi podwładny. Definicja pracy zdalnej zawarta w projekcie rozszerza też wachlarz zawodów, które można wykonywać zdalnie, bo jeśli czytamy, że pracą zdalną jest ta, którą wykonuje się w szczególności z wykorzystaniem środków bezpośredniego porozumiewania się na odległość, to znaczy tyle, że mogą ją wykonywać osoby, które do przesłania efektów pracy szefowi wcale nie potrzebują internetu, pracując na komputerze, na przykład z archiwalnymi dokumentami w formie papierowej, nie korzystając z internetu czy komunikatora firmowego, by przedstawić szefowi rezultaty bieżącej pracy.

Pracowników elektryzuje kwestia dokładania się szefa do rachunków za prąd czy internet, które nabijają się podczas wykonywania pracy zdalnej z domu.

Projekt bardzo dużo obowiązków przerzuca na pracodawcę, nie precyzując przy tym kolejnych kwestii, jak np. rozliczanie kosztów pracy zdalnej czy samego sposobu wyliczania kwoty ryczałtu lub ekwiwalentu. To po stronie pracodawcy leżeć

będzie konieczność stworzenia np. algorytmu, za pomocą którego określana będzie ilość zużytej przy pracy energii elektrycznej, bo przecież wiadomo, że dom będzie w tym czasie funkcjonował normalnie. Jaki więc procent energii pochłonie służbowy laptop? Będzie to wymagało tworzenia wewnętrznych regulaminów. A może ryczałt dla każdego pracownika, powiedzmy, 500 zł miesięcznie na poczet rachunków za energię? Wszystko jest kwestią otwartą.

Jest też coś, co ustawodawca chce przerzucić na pracownika - to on ma odpowiadać za stworzone na przykład w domu bezpieczne stanowisko pracy. Potrzebne będą nowe szkolenia BHP?

Przede wszystkim to pracodawca musiałby stworzyć nową ocenę ryzyka (biorąc pod uwagę to mniej więcej, co bierze pod uwagę, gdy pracownik świadczy pracę z biura - wypadek podczas korzystania ze sprzętów biurowych, ewentualność poślizgnięcia się na śliskich płytkach w łazience, wylanie na siebie gorącej cieczy, porażenie prądem itp.). Pracownik musi się z tą oceną zapoznać i zobowiązać się do przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Pozostaje kwestia wypadków przy pracy. Jeśli do zdarzenia doszło w domu, w godzinach pracy, podczas wykonywania służbowych obowiązków, nie bę-

dzie problemu z otrzymaniem zasiłku czy wypłatą jednorazowego odszkodowania. Ale sytuacje są różne: np. kiedy pracownik siada do służbowego laptopa wieczorem, z lampką wina w ręku, a gdy wstaje, by podejść do drukarki, przewraca się i poważnie obija. Kiedy na jaw wychodzi, że był pod wpływem alkoholu, że wykonywał co prawda pracę, ale nie w ustalonych z pracodawcą godzinach, nie tylko nie ma co liczyć na zasiłek i odszkodowanie, ale i powinien liczyć się z ewentualnością utraty pracy z powodu utraty zaufania pracodawcy. Podobnie, gdyby zdarzył się wypadek komunikacyjny w czasie pracy, jeśli pracownik nie załatwiałby służbowych spraw, ale np. jechał na zakupy. Są i inne przykłady: pracownik oparzył się gorącą zupą w godzinach pracy, w czasie pracy zdalnej. Odszkodowania i prawa do zasiłku chorobowego nie dostaje, nie dlatego, że gotował czy podgrzewał dla siebie tę zupę w czasie pracy (przysługuje mu przecież przerwa na posiłek), ale dlatego, że gotował ją dla siebie i żony, która w tym czasie pracowała zdalnie w tym samym pokoju.

Projekt nakłada na pracodawcę obowiązek umożliwienia pracy zdalnej rodzicom i opiekunom dzieci do 4. roku życia. To ukłon w ich stronę? A może pewne podkopanie pozycji kobiet na rynku pracy, bo pracodawcy, którzy dziś niechętnie zatrudniają młode kobiety, myśląc o tym, że niebawem zajdą w ciążę, pójdą na zwolnienie lekarskie, potem na urlop macierzyński, dołożą do swoich uprzedzeń jeszcze argument o tym, że kobieta potem jeszcze przez 4 lata będzie chciała pracować z domu?

Zapis mówi o rodzicach i opiekunach, więc także rodzicach zastępczych. Upatruję w nim szansy na aktywizację zawodową rodziców, a nie przejaw dyskryminacji. To pokłosie ustawy za życia, bo w projekcie mowa jest też o możliwości pracy zdalnej dla rodziców, którzy spodziewają się dziecka z ciężką, nieodwracalną wadą i dla opiekunów dzieci niepełnosprawnych, także po ukończeniu przez nie 18. roku życia. To z kolei daje szansę tym rodzicom na wejście, często po latach przerwy, na rynek pracy. Mama, która codziennie odwozi niepełnosprawne dziecko na długą rehabilitację do ośrodka oddalonego od ich miejsca zamieszkania, mogłaby pracować przy wydzielonym tam stoliku, czekając na koniec zabiegów rehabilitacyjnych. ©©

Britney Spears. Cudowne dziecko chce się wyzwolić spod władzy ojca

Andrzej Dworak
andrzej.dworak
@polskapress.pl



Spoleczeństwo

Britney Spears, jedna z największych gwiazd muzyki pop, przegrała w sądzie sprawę o zakończenie ubezwłasnowolnienia i poddania opiece swojego ojca. Piosenkarka nie odzyskała pełni praw, ale jej dramatyczne wyznania i apele odbiły się szerokim echem w mediach oraz skłoniły władze USA do przyjrzenia się systemowi opieki nad osobami uznanymi za niezdolne do samodzielnej egzystencji.

Senatorowie Elizabeth Warren i Bob Casey zażądali w pismach do Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych działań na rzecz większego federalnego nadzoru nad systemem opiekuńczym. Wezwali do dostarczenia informacji na temat danych gromadzonych przez powyższe agencje o przypadkach opieki w USA.

Senatorowie napisali, że sprawa Spears zwróciła uwagę na wieloletnie obawy adwokatów osób ubezwłasnowolnionych, którzy podkreślali możliwość nadużyć w dziedzinie finansów i praw obywatelskich osób objętych opieką. Pomimo tych zgłaszanych obaw, zdaniem senatorów, w Stanach Zjednoczonych zasadniczo brakuje kompleksowych danych dotyczących opieki, co utrudnia prowadzenie wysiłków na rzecz zrozumienia luk i nadużyć w systemie oraz znalezienia sposobów ich rozwiązania... Ponieważ każdy stan zajmuje się własnymi sprawami opiekuńczymi, istnieją duże różnice w tym, czy i w jaki sposób gromadzone są dane dotyczące tego procesu, a dane na poziomie federalnym są bardzo ograniczone.

Szacuje się - a są to zdaniem senatorów dane niekompletne - że w USA pod opieką jest 1,3 mln dorosłych, a ich opiekunowie kontrolują aktywa o wartości

około 50 mld dol. Ojciec Britney James Spears zarządza wielomilionowym majątkiem córki, a jego podopieczna dostaje tygodniowo około 850 dol. Za to da się żyć, lecz gdy się pomyśli, że piosenkarka sprzedała już w wieku 17 lat ponad 100 mln płyt, to dysproporcja między tym, co ma na koncie, a co dostaje, jest ogromna.

Niegdys cudowne dziecko, później zrujnowane życie

Britanny Spears ma 39 lat, jest córką pochodzących z Południa Stanów przedsiębiorcy budowlanego i nauczycielki. Kiedy miała cztery lata, rozpoczęła publiczne występy. W wieku lat 11 była prowadzącą najbardziej znanego show dla dzieci w amerykańskiej telewizji - Klubu Myszk Miki. Kariera piosenkarska zrobiła z niej supergwiazdę - już jej pierwszy singiel wyładował w 40 krajach na pierwszym miejscu list przebojów. Jest pierwszą wykonawczynią, która może się pochwalić czterema albumami na pozycji nr 1 w Ameryce.

W 2004 roku wyszła za mąż za tancerza Kevina Federline'a i urodziła pierwsze, a następnie drugie dziecko. Rozwiodła się w 2007 roku. Miała już wówczas od kilku lat problemy psychiczne i związane z uzależnieniami. Przerywała terapie odwykowe, aż w lutym 2008 roku przeżyła załamanie nerwowe zakończone pobytem na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego. W dalszym ciągu towarzyszyły jej wypadki w postaci zażęć z użyciem przemocy, zaniedbywała także swoje synów, co spowodowało odebranie jej prawa opieki nad dziećmi, a potem także prawa do ich widywania.

W wieku 26 lat Britney - piosenkarka, tancerka, aktorka, producentka muzyczna, autorka tekstów, projektantka mody, businesswoman, filantropka z majątkiem ocenianym obecnie na około 60 mln dol. - została ubezwłasnowolniona. Majątkiem zarządzają jej ojciec i jego prawnik.

Nie jest tak, że piosenkarka jest gdzieś więziona i przetrzymywana. Nie o wszystkim jednak - a dotyczy to m.in. pienię-

dzy - może decydować. Od 13 lat...

W lipcu 2008 roku odzyskała część praw do opieki nad dziećmi. Rozpoczęła też prace nad szóstym albumem. Zdobyła trzy statuetki MTV Video Music Awards. 26 września tamtego roku odbyła się premiera singla „Womanizer”, który niespełna kilka dni po premierze dotarł do pierwszego miejsca listy przebojów m.in. w Polsce. Na przełomie listopada i grudnia dała serię występów w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii, USA i Japonii... W następnym roku odbyła trasę koncertową „The Circus Starring: Britney Spears”, która obejmowała 97 występów na terenie USA, Kanady, Europy oraz Australii. Koncerty przyniosły ponad 145 mln dol.... Sukcesy święciła również w następnych latach. Ukazały się kolejne albumy, zdobywała kolejne laury, koncertowała w ramach show „Britney: Piece Of Me”, miała własną linię odzieżową (Spears - bielizna oraz piżamy) - promowała ją w Nowym Jorku, Londynie, Polsce, Niemczech, Danii oraz Norwegii, w 2018 roku Spears wypuściła swój 24. zapach z Elizabeth Arden o nazwie „Sunset Fantasy”...

Związana była ze swoim byłym menedżerem Jasonem Trawickiem, z producentem filmowym Charliem Ebersolem, a od 2016 roku jest z Samem Asgharim. Jednak aż do niedawna, do końca czerwca, Britney Spears nie wypowiadała się na temat stosunków z ojcem. Dopiero w związku z rozprawą umieściła w internecie kilka zdań na ten temat, a przed sądem opowiedziała o szokujących okolicznościach swojej sytuacji.

„Przepraszam za to” - napisała Britney na Instagramie - „że stwarzałam wrażenie, jakby przez ostatnie dwa lata było u mnie wszystko w porządku. Wstydziałam się ujawnić, co się ze mną dzieje... Zdradzę wam małą tajemnicę - nie chcę już, żebyście myśleli, że mam idealne życie - to wcale nie jest tak! Przeżywam traumę, nie jestem szczęśliwa, nie mogę spać. Jestem wściekła”.

Przed sądem - rozprawa odbywała się zdalnie - Britney



Britney Spears publikuje swoje zdjęcia w mediach społecznościowych. I domaga się wolności

oskarżyła ojca i resztę rodziny o działania przeciwko niej, o korzystanie z jej pieniędzy i kontrolowanie jej życia osobistego. Powiedziała też m.in., że nie pozwalano jej na podejmowanie decyzji w sprawie leczenia, zmuszono do przyjmowania określonych leków - litu podawanego przy depresji maniakalnej, po którym się źle czuła - i stosowania antykoncepcyjnej spirali. Szczególnie ostro zaatakowała ojca, który „lubił czuć nad nią władzę, a ona czuła się jak niewolnica”. Zażądała też kary więzienia dla wszystkich biorących udział w tym procederze. Na koniec 20-minutowej przemowy wystąpiła o całkowite zakończenie ubezwłasnowolnienia. Przewodnicząca rozprawie w Los Angeles sędzia odrzuciła ten wniosek, podtrzymała obecny stan,

Szacuje się, że w USA pod opieką jest 1,3 mln osób dorosłych, a ich opiekunowie kontrolują aktywa o wartości 50 mld dolarów

ale nakazała wyznaczenie nowego kontrolera mającego wgląd w zarządzanie finansami przez ojca Britney. Po tym adwokat artystki ogłosił, że jego klientka nie będzie występowała jako piosenkarka podczas dalszego sprawowania kurateli nad jej finansami i karierą przez ojca, aż do zakończenia tej opieki.

Fala współczucia

W lutym 2021 roku premierę miał film dokumentalny dziennikarzy „New York Timesa” „Framing Britney Spears” opisyjący życie piosenkarki pod kuratelą ojca. Dokument wywołał sensację. Wprawdzie sama Britney w nim nie wzięła udziału, a potem skrytykowała dzieło jako „obłudne”, gdyż niby zajmuje się paskudnym wpływem mediów na jej sytuację, ale w istocie tylko powtórzyła niepochlebne opinie, lecz w efekcie fani piosenkarki utworzyli ruch #FreeBritney, który domaga się zniesienia ubezwłasnowolnienia ich idolki. Jego członkowie twierdzą, że Britney zasługuje na to po 13 latach życia pod kuratelą, że niegdys ubezwłasnowolnienie było sposobem na ratowa-

nie jej życia, ale teraz straciło sens. Nastoletni syn gwiazdy Sean Preston nazwał dziadka „palantem” i chciałby zakończenia jego władzy, ale nie bardzo jest w stanie pomóc mamie. Wielu celebrytów wyraziło poparcie dla swojej koleżanki - m.in. jej dawny partner Justin Timberlake napisał na Twitterze, że on i jego żona Jessica Biel są z nią i jej walką o odzyskanie praw.

Nie wiadomo, jaki będzie dalszy ciąg batalii sądowej Britney kontra ojciec i dalsza część rodziny. Druga strona zabezpieczyła się na wszelki wypadek - gdyby doszło do śmierci Britney Spears, zarządzanie jej majątkiem ma przejąć młodsza siostra gwiazdy Jamie Lynn. Żeby kasa została przy tej „zdrowej” części rodziny. Nie wiadomo również, czy ta sprawa zmieni amerykańskie przepisy dotyczące kurateli nad osobami ubezwłasnowolnionymi. Wspomniana dwójka senatorów już wykazała istniejące w nich luki i nadużycia, które mogą pogarszać sytuację nie tylko takiej gwiazdy z czołówek mediów jak Britney Spears, ale tym bardziej anonimowych osób.

Mateusz Majnusz
mmajnusz@nto.pl

Rozmowa

Europa nadal czuje strach przed Rosją. Sądę, że Polska właśnie z tego powodu została zdradzona w trakcie II wojny światowej, bo innym państwom po prostu zabrakło odwagi. Rosja jest cierniem u boku Europy - mówi Robert Gawliński, lider zespołu Wilki, w pierwszym wywiadzie po rocznej przerwie w koncertowaniu.

Czwartkowy, deszczowy poranek w Opolu nie przypominał panu opolskiego festiwalu? Gdy gwiazdy zjeżdżają się do Opolu na koncerty, zawsze pada...

Taka jest już chyba niepisana „tradycja” festiwalu (śmiech). Gdy przyjeżdżałem do Opolu właśnie na festiwal, aura była podobna, więc chyba nikogo już to nie dziwi. Od kilku lat nie miałem jednak okazji wystąpić na festiwalu, ale koncert „Schody do wolności” właściwie można nazwać Festiwalem, biorąc po uwagę ilość zaproszonych artystów.

Zdażył się pan już przebranżowić? Podobno zaczął pan uprawiać oliwki w Grecji.

To mi! (śmiech). Po prostu znajomi mieli oliwkobranie i postanowiłem im pomóc. Wrzucałem do internetu różne filmiki, żeby mieć kontakt z fanami, ale ten zainteresował media i przypięto mi łatkę farmera. Muszę przyznać, że bardzo się dobrze bawiłem z tego powodu. Próbowałem to później sprostować, ale nikt nie chciał słuchać, więc odepuszcę.

Wyprowadzka do Grecji była próbą szukania inspiracji, dłuższymi wakacjami czy może ucieczką od polskiej rzeczywistości?

Grecja jest pięknym krajem, mieszkają tam bardzo mili, uczynni i otwarci ludzie. Od 15 lat jeździmy tam poza sezonem. Kiedy do Polski nadciągają chmury, przedłużamy sobie w ten sposób lato. Gdy u nas żółkną liście, tam nadal jest ciepło i słonecznie. Pierwsze wyjazdy były czystą, artystyczną inspiracją. W ten sposób zrodziła się płyta „Obrazki”, której wszystkie teksty napisałem pod wpływem miesięcznego wyjazdu do Grecji. W tworzeniu pomagała mi przestrzeń, którą tam czułem. Przestrzeń umysłowa, mentalna, ale także taka namacalna, którą widać, gdy ze swojego domu patrzysz na morze. I to się nie zmieniło od prawie 20 lat. Na-

Gawliński: Szukanie wrogów jest wygodne, ale nie czyni to dobra



Zagrany w Opolu koncert „Schody do wolności” był pierwszym od roku Roberta Gawlińskiego

dal będąc w Grecji dusza rwie się do tworzenia.

Panu się podoba taki sielankowy, śródziemnomorski styl życia?

Tam życie płynie zupełnie innym tempie. Uważam jed-

nak, że błędnie postrzegamy Greków jako leniwy naród, który nie lubi pracować. Takie postrzeganie pokutuje od lat i jest bezpośrednio związane z tym, że gdy my jedziemy na wakacje do Grecji, tam temperatury dochodzą

do 38 stopni. W takiej temperaturze nie da się pracować normalnie, dlatego Grecy zaczynają latem pracę o godz. 6 rano, pracują do 12 i robią sobie przerwę do wieczora, żeby w najgorętszym okresie dnia móc zwyczajnie odpo-

czyć w domu, na plaży, czy w tawernie. To piękny aspekt życia rodzinnego, gdy widzi się, jak w takiej tawernie przesiadują całe rodziny i traktują ją jak drugi dom. Tam życie toczy się na ulicy. Ludzie są uśmiechnięci, chęt-

ni do rozmowy i biesiadowania.

Tego nie da się doświadczyć w Polsce.

Ale jest to też piękne, że w naszym kraju mamy cztery, bardzo wyraźne pory roku. Coraz mniej krajów może się tym pochwalić. Nic tak cudownie nie pachnie, jak polski las jesienią.

Asymilując się z Grekami, miał pan czas na tworzenie muzyki?

Rok spędzony w Grecji, pomimo panującej pandemii, uznaję za udany. Miałem sporo pracy - pisałem teksty, wymyślałem nowe melodie, kombinowałem z różnymi stylami. Okazało się jednak, że jeden z wiodących producentów w Polsce powiedział mi, że bałby się ze mną teraz współpracować. Nie wiem, co to znaczyło. Inni producenci również nie wiedzieli, czego będziemy od nich oczekiwać i byli trochę sceptyczni. Dopiero Kuba Galiński okazał się producentem, który doskonale rozumiał nasze potrzeby i z którym udało nam się wypracować wspólny język muzyczny. Współpraca z nim przypomina mi najlepsze lata Wilków.

Można więc spodziewać się waszej nowej płyty?

Tak! Zaczęliśmy ją tworzyć jeszcze przed pandemią, a kontynuowaliśmy podczas mojego wyjazdu. Dzięki technologii miałem cały czas kontakt z Kubą, co znacznie ułatwiało pracę na odległość. Płyta osadzona będzie klimatem w latach 90., co bardzo mi odpowiada, bo jest to najszersza wypowiedź w moim wydaniu. Mając prawie sześćdziesiątkę na karku, chętnie wraca się do swoich lat młodości i najlepszego okresu polskiej muzyki popularnej. Jestem szczęśliwy z tej płyty i mówiąc trochę nieskromnie, kilka utworów już jest moimi faworytami na przyszłe koncerty.

Płyta jest już gotowa?

Można powiedzieć, że w 70-80 proc. Nagraliśmy już siedem utworów, kolejne dwa mają napisane teksty, ale czekają jeszcze na nagranie. Trzeba poświęcić trochę czasu na nagranie drugich głosów i dopracowanie całości. Planujemy cztery single, ale nie wiem, czy tyle pochłonie radio.

Pan nigdy nie miał nosa do singli. Spodziewał się pan, że „Urke” będzie największym hitem waszej czwartej płyty, a tu nieoczekiwanie „Baśka” wdarła się na szczyt listy przebojów.

Zostaliśmy zaproszeni w 2002 roku na opolski festi-

wał, no i się zastanawialiśmy, z jakim utworem przyjedziemy do Opola. Nie chcieliśmy wykonywać „Urke”, który miał być utworem promującym płytę, ponieważ był czerwiec, a płyta miała wyjść dopiero we wrześniu. Trochę się tego obawialiśmy, że możemy nie dociągnąć tych kilku miesięcy na jednym singlu i wtedy musielibyśmy szukać kolejnego. Wybór padł na „Baškę”, która była taką lekką, wakacyjną piosenką. Niespodziewanie otrzymaliśmy za nią nagrodę na festiwalu, a sam utwór stał się hitem. Ludzie śpiewali go przy każdej okazji, a wkrótce zaczęły się pytania, gdzie jest nasza płyta. A płyty jeszcze przez kilka miesięcy nie było! Okazało się to marketingowym błędem, który spowodował, że sprzedaliśmy w sumie ze 100 tys. mniej egzemplarzy.

Dzisiaj mało który artysta może pochwalić się taką sprzedażą swoich płyt.

Bo dzisiaj wszystko jest za darmo, a jak nie jest legalnie za darmo, to można nielegalnie to ściągnąć. Dotyczy to nie tylko muzyki, ale też filmów, gier czy sztuki.

Z tego powodu zrodził się pomysł wprowadzenia opłaty reprograficznej.

Oplata reprograficzna ma w założeniu stanowić rekompensatę oddawaną artystom przez producentów i importerów sprzętu elektronicznego, ponieważ to ich technologia służy kopiowaniu i przechowywaniu utworów w ramach dozwolonego użytku. To nie jest nowy pomysł, ta opłata była zawsze odprowadzana za czyste płyty CD, kasety magnetofonowe, ale czegoś nie dopilnowano, kiedy wchodziły nowe technologie i stąd teraz ten spór. Mam nadzieję, że ZAiKS-owi i Związkowi Zawodowemu Muzyków uda się wypracować rozwiązanie tego problemu. To byłaby bardzo duża pomoc dla twórców. Trzeba pamiętać, że nasza branża została zamknięta jako pierwsza, a otwarta jako ostatnia i wielu artystów jest w trudnej sytuacji. Nie myślę o sobie, nie myślę o tys. gwiazdach, bo one sobie poradzą. Chciałbym zwrócić się do organizacji kulturalnych, na których spoczywa teraz największa odpowiedzialność za organizowanie koncertów i mówiąc wprost - za zapewnienie pracy muzykom i innym twórcom. W Opolu akurat Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego stanął na wysokości zadania i mogliśmy wystąpić na doskonale przygotowanej imprezie.

Koncert „Schody do wolności” w opolskim amfite-

atrze był pana pierwszym koncertem od wybuchu pandemii.

Trudno sobie wyobrazić tęsknotę artystów, którzy na ponad rok zostali pozbawieni możliwości koncertowania, a co za tym idzie - również możliwości zarabiania na chleb. Bardzo się cieszę, że to akurat w Opolu odbył się mój pierwszy, popandemiczny koncert.

W zapowiedzi koncertu powiedział pan, że „droga do wolności trwa wiecznie”. Ma pan poczucie, że wolność wywalczona 30 lat temu nie jest nam dana raz na zawsze?

Prawa i wolności nie są dane raz na zawsze, a o demokrację, prawa człowieka i praworządność trzeba dbać każdego dnia. Ukraińcy jeszcze 10 lat temu mogli sądzić, że skoro żyją w wolnym kraju, to tak już będzie. A później się okazało, że najechało ich obce państwo i zajęło część jego terytorium. No i co mogli na to poradzić? Do kogo się zwrócić? Gdzie byli Amerykanie, nasi obrońcy wolności i policjanci świata? Gdzie było NATO? Gdzie była reszta państw? Nie mogli też liczyć na Polskę, bo jesteśmy za słabi, aby samodzielnie przeciwstawić się Rosji. Gdyby jednak cała Europa jak jeden mąż powiedziała Putinowi, że ma spi....ać, konsekwencje inwazji mogłyby być inne.

Europie zabrakło odwagi?

Zabrakło jej jaj, bo my nadal czujemy strach przed Rosją. Sądzę, że Polska właśnie z tego powodu została zdradzona w trakcie II wojny światowej, bo innym państwom po prostu zabrakło odwagi. Rosja jest ciemieniem u boku Europy, bo z powodu panującego tam od lat zamordyzmu trudno ją zakwalifikować do naszego kontynentu, a z drugiej strony z powodu jej bliskiego położenia, odgrywa znaczącą rolę w przemianach w tej części świata.

Odwagi państwowemu brakuje również teraz.

Tak, przykładem była sprawa uchodźców, wobec których europejskie kraje wołały umywać ręce, zamiast realnie zająć się tym problemem. Podobnie zachował się także Kościół katolicki w Polsce, który nie chciał nawet dostrzec tych ludzi i zająć stanowiska w tej sprawie. Można

Młodym dam jedną radę - żeby osiągnąć sukces, trzeba zakasać rękawy i zap....ać, a nie liczyć na pomoc państwa

na było tę sprawę załatwić w cywilizowany sposób i zaprościć do Polski chrześcijańskich uchodźców, którzy znaleźliby u nas schronienie.

Łatwiej było zignorować problem?

Oczywiście, że tak, ale to nas donikąd nie prowadzi. Wystarczy bowiem ignorancja ludzi dobrych, aby zło triumfowało na świecie.

To jest miara współczesnego patriotyzmu, aby nie bać się głośno mówić o naszych problemach i na nie reagować?

Patriotyzm wynosi się z domu i często kształtuje się

Vestibulum tincidunt lobortis metus, eget porttitor nibh feugiat in. Lorem ipsum dolor sit amet, consectetur adipiscing elit. Aenean

go na podstawie naszej własnej, rodzinnej historii. To opowieści naszych dziadków i wujów, którzy walczyli na Wołyniu, nad Niemnem czy w powstaniu. Moją babkę zamordowała w bestialski sposób banda UPA, a brat drugiej babci służył w Armii Andersa, a w tym czasie jego pierwsza, ukochana żona poznała w Warszawie Niemca, z którym się wyprowadziła do Niemiec. Jak się słucha tych historii jako dzieciak, to chłonie się je jak gąbkę. A to kształtuje miarę patriotyzmu, który odczuwamy w naszym sercu. Gdyby ci ludzie tego nie zrobili, gdyby nie chcieli zostawić swoich rodzin i dzieci, ryzykując do tego własnym życiem, dzisiaj nie mielibyśmy Polski. Ci ludzie kochali swój kraj w sposób, jaki dzisiaj trudno jest sobie wyobrazić. I tego uczę swoich synów, że można mieć dzieciątki domów w różnych częściach świata, można kochać podróżować i zwiedzać, ale ojczyznę ma się tylko jedną. Jest nią Polska i tak bardzo bym chciał, abyśmy w końcu przestali przejmować się błahostkami, jakimi niesnaskami, które nas dzielą, zamiast jednoczyć.

Polaryzacja społeczeństwa w Polsce pogłębia się z każdym rokiem.

Z tego powodu powinniśmy stygmatyzować tych, którzy do tego rozwarstwiania się społeczeństwa cynicznie dążą. Taka dyskusja jest po prostu nie do przyjęcia, aby nazywać Ślązaków jakąś ukrytą opcją niemiecką, bo wkrótce wrogami staną się Kaszubi, Łemkowie czy Tatarzy. Szukanie wrogów jest wygodne do uprawiania

brudnej polityki, ale nie czyni to dobra. To jest po prostu zło, które należy piętnować.

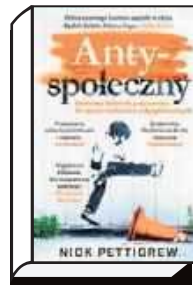
Skąd w ogóle wzięły się te podziały w naszym kraju?

Pamiętam słowa Pawła Kukiza, że „Warszawa jest jak Monako w Polsce, inne ciało, dwory, arystokracja, media, oni nie mają pojęcia, jak wygląda życie na prowincji”. Można byłoby mu zadać pytanie, dlaczego on się wyprowadził z Opola do Warszawy. Powód był prosty - bo w Warszawie żyje się łatwiej. I tak było już od zawsze, że życie w stolicy ma specjalne preferencje, ma większy potencjał, wyższe zarobki. Gdy w latach 90. wracałem do Warszawy od swoich przyjaciół w Rzeszowie, to nie trudno było zauważyć te różnice, które sięgały dekady w rozwoju! Te podziały były zawsze i dotyczyły wschodniej i zachodniej części Polski. Wielkopolska, która miała bliiski kontakt z lepiej rozwiniętym i bogatszym krajem, nawet takim jak NRD, miała szansę na lepszy rozwój ekonomiczny, wyższy poziom wiedzy, poczucie mentalności europejskiej i odpowiedzialności za własne czyny, a nie oczekiwania, że coś nam ktoś da.

Dodatkowo wielu Polaków nie poradziło sobie z transformacją gospodarczą po 1989 roku.

Tworzenie wolnego rynku opartego na własności prywatnej pozwoliło wielu ludziom się wzbogacić i podnieść jakość swojego życia. Niestety zapomnieli inwestować w swoją przyszłość. Ludzie, którzy szyli odzież i sprzedawali ją na bazarze na Stadionie Dziesięciolecia, mogli pozwolić sobie na kupno niemieckiego samochodu czy budowę domu. Sądzili, że są szczęśliwi, ale gdy do Polski wjechały europejskie koncerny, ci ludzie szybko zbankrutowali i zostali z niczym. To spowodowało frustrację, niepokodzenie się z sytuacją i poczucie porażki. Ludzie pamiętający tamte czasy, którzy dziś ledwo wiążą koniec z końcem, liczyli od wielu lat, że ktoś się nimi zaopiekuje. I nadal liczą, że zrobi to PiS. Największym obowiązkiem, który czeka PiS czy jakąkolwiek inną partię, jest zajęcie się emerytami, którym dziś żyje się w Polsce naprawdę źle. Skoro mamy pieniądze na 500+, to musimy je mieć także dla emerytów, dla niepełnosprawnych, którymi trzeba się zaopiekować, pomóc ich rodzicom. A młodym ludziom, którzy dopiero zaczynają dorosłe życie, dam jedną radę - żeby osiągnąć sukces, trzeba zakasać rękawy i zapieprzać, a nie liczyć na pomoc państwa.

Warto przeczytać



Z nerwem napisana książka o Wielkiej Brytanii widzianej z perspektywy osób z problemami. Nick Pettigrew miał za zadanie im pomagać odnaleźć się w społeczeństwie - a on swoją pracę z humorem opisał. **NICK PETTIGREW „ANTY-SPOŁECZNY”, WYD. INSIGNIS, KRAKÓW 2021**



Dwóch dominikanów w lekkiej rozmowie o tajemnicach mszy świętej. Bardziej ciekawostkowo niż teologicznie, ale za to prostym językiem wyjaśniają tajemnice liturgii. **DOMINIK JURCZAK, DOMINIK JARCZEWSKI „NERW ŚWIĘTY. ROZMOWY O LITURGII”, WYD. W DRODZE, POZNAŃ 2021**



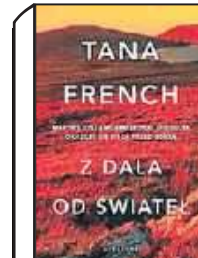
Neogotycka moda na straszenie obecna była też w polskiej literaturze. Zbiór opowiadań utrzymany w tym właśnie duchu. Wśród autorów m.in. Stanisław Lem, Bruno Schulz, Bolesław Leśmian. **PIOTR PAZIŃSKI [RED.] „OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA POLSKIEGO”, WYD. PIW, WARSZAWA 2021**



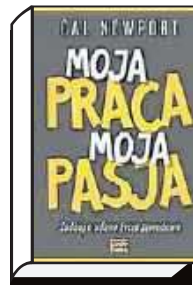
Dolny Śląsk do dziś skrywa wiele tajemnic z czasów II wojny - wystarczy przypomnieć niedawną historię ze „złotym pociągami”. Autor próbuje zebrać wszystkie mniej lub bardziej prawdziwe opowieści. **LESZEK ADAMCZEWSKI „BLASK UKRYTEGO ZŁOTA”, WYD. REPLIKA, POZNAŃ 2021**



Wakacyjne czytadło o magnetycznej sile miłości. Mary codziennie na dworcu stoi czekając na Jima. Każdego dnia przez siedem lat. Jima ciągle nie ma. Jak długo można czekać na ukochanego? **ABBIE GREAVES „JEDNO SŁOWO ZA DUŻO”, WYD. MUZA, WARSZAWA 2021**



Czy policjant może przejść na emeryturę? Cal Hooper osiedla się daleko na irlandzkiej wsi - ale nawet tam okazuje się, że są do rozwiązania zagadki kryminalne. Mimo emerytury. **TANA FRENCH „Z DAŁA OD ŚWIĄTEK”, WYD. ALBATROS, WARSZAWA 2021**



Dobra praca łączy się z pasją. Prof. Newport rozwija to zdanie, tłumacząc, dlaczego to zarabianie pieniędzy nie można podejść jakby to było tylko osiem godzin dnia. **CAL NEWPORT „MOJA PRACA, MOJA PASJA. ZADBAJ O UDANE ŻYCIE ZAWODOWE”, WYD. STUDIO EMKA, WARSZAWA 2021**



Właśnie co zakończonego Euro Francja zaliczy raczej do swoich upadków. Ale w przeszłości miała ona wiele piłkarskich wzlotów. I o nich jest ta książka. **MATTHEW SPIRO „MISTRZOWIE. OD ZIDANE'A DO MBAPPÉGO. UPADKI I WZLOTY FRANCUSKIEGO FUTBOLU”, WYD. ZNAK, KRAKÓW 2021**

Kim właściwie są świadkowie koronni? Opowiada dwóch prokuratorów

Sądownictwo

O tym, kto może być świadkiem koronnym, opowiadają Gaglieli Jankowskiej dwaj prokuratorzy: Piotr Woźniak i Michał Gabriel-Węglowski.

Czy przesłuchania świadków koronnych mają jakąś szczególną formę?

Piotr Woźniak (P.W.): Przesłuchanie świadka czy kandydata na koronnego niczym się nie różni od przesłuchania zwykłego podejrzanego. Przyjmujemy to, co dany kandydat ma do powiedzenia, wysłuchujemy go i protokolujemy. Jeżeli coś jest niedoprecyzowane, jakichś elementów brakuje w opowieści, dopytujemy. Miałem świadka koronnego, który zajmował się wyłącznie produkcją amfetaminy. Przez dziesięć czy jedenaście lat wyprodukował ponad siedem ton, w różnych konfiguracjach osobowych. Zajmował się także dystrybucją, kupował i gromadził BMK [środek chemiczny służący do wytwarzania amfetaminy G.J.], zaopatrywał się w niezbędne utensylia. Przesłuchania trwały pół roku, przy czym dotyczyły tylko jednego tematu, jednego rodzaju czynów przestępczych. To pokazuje, jak długo przesłuchuje się gangstera z grupy przestępczej działającej na przestrzeni lat w zmieniającym się składzie osobowym. Jeśli mamy do czynienia ze świadkiem koronnym, który opowiada o całym swoim życiu, przeszedł przez różne etapy, działał w czterech grupach przestępczych, samo zrelacjonowanie tak barwnego życia po prostu musi zająć sporo czasu. Naszą rolą jest ustalenie, czy to, jak świadek rozumie pojęcie „grupy”, jest tożsame z definicją kodeksową. Musimy ustalić hierarchię, wytypować hersztów i poszczególnych członków, zakres i rodzaj działalności, kto jakich przestępstw się dopuścił. Co świadek koronny robił w tej grupie oraz z kim. To ogrom materiału. Toteż nie da się z góry ustalić, jak długo może trwać taki proces.

Czy można prawdomówność kandydata na świadka koronnego poddać testom poligraficznym (wariograficznym)? A może trzeba?

P.W.: Rozważano obowiązek takich badań. Jednak



Świadek koronny musi przyznać się do wszystkich swoich przestępstw

po pierwsze, ustawa nie wprowadziła obligatoryjności w tym zakresie, a po drugie, byłby z tym niemały problem. Postępowanie kandydackie jest objęte klauzulą „ściśle tajne”. Tymczasem dopuszczanie do udziału w tym procesie dodatkowych osób, jak choćby biegłego obsługującego wariograf, poszerzyłoby krąg osób znających dane świadka koronnego. Trzeba też pamiętać o licznych wątpliwościach odnośnie do miarodajności samego wariografu. Kodeks postępowania karnego dopuszcza badania poligraficzne wyłącznie wtedy, gdy trzeba ograniczyć krąg osób podejrzanych. Kodeks zabrania bowiem przesłuchiwania świadków przy użyciu

Mały świadek koronny ponosi jakąś odpowiedzialność. Świadek koronny dzięki swoim zeznaniom tej odpowiedzialności unika

urządzeń technicznych, które mogłyby mieć na nich wpływ [art. 171: „stosowanie hipnozy albo środków chemicznych lub technicznych wpływających na procesy psychiczne osoby przesłuchiwanego albo mających na celu kontrolę nieświadomych reakcji jej organizmu w związku z przesłuchaniem” – G.J.]. Według mnie weryfikacja wyjaśnień kandydata na koronnego w oparciu o inne dowody jest wystarczająca, by takiej osobie zaufać.

Pamięta pan sprawę, w której jednak wariograf spełnił swoją rolę? Badanie coś wyjaśniło, podtrzymało bądź czemuś zaprzeczyło?

P.W.: Ja sam dawno wariografu nie używałem. Ale pamiętam sprawę, w której miałem już innych możliwości, za to same wątpliwości. Chodziło o zabójstwo. Wariograf wykazał, że istnieje prawdopodobieństwo, iż podejrzany mógł zabić. Sąd nie podzielił mojej opinii i uniewinnił go. Kiedy

sprawa miała trafić do sądu apelacyjnego, oskarżony został zabity i sprawę umorzono. Do dziś nie wiem, czy był zabójcą.

Czy faktycznie na początku prokuratorzy „zachłystywali” się tą instytucją i masowo powoływali świadków koronnych?

Michał Gabriel-Węglowski (M.G.-W.): Z nowo wprowadzanymi instytucjami zawsze tak jest. Wtedy faktycznie niektóre decyzje mogły być podejmowane zbyt szybko, choć sądzę, że były to rzadkie przypadki. Na początku brakowało wzorców i doświadczeń, którymi można by się dzielić. Ewentualne potknięcia były więc naturalne. Z czasem koronnych przybywało. Na różnorakich konferencjach wymieniano uwagi i spostrzeżenia. Dynamika powoływania świadków koronnych zmalała. Nie znam danych za ostatnie lata, ale myślę, że nadal tak jest, i liczba świadków ustabilizowała się na poziomie kilku rocznie. To jest, jak sądzę, rozsądna liczba.

P.W.: Nie znam osobiście żadnego blamażu prokuratora czy świadka koronnego, za którego trzeba by się palić ze wstydu. Na szczęście. Nie miałem także koronnego, który by zmienił zdanie i chciał wyciągnąć zeznania, czego konsekwencją byłoby pozbawienie go statusu. Żaden z moich świadków nie umarł. Jak chodzi zaś o sedno sprawy, czyli o rozbijanie grup przestępczych, to wiadomą rzeczą jest, że świadek koronny musi rekrutować się z takiego środowiska, musi być „bandytą”, to narzędzie było i nadal jest skuteczne. Sprawnie rozbija grupy przestępcze. Uderza w największe struktury i porusza ważne tematy. Świadek koronny jest zdecydowanie ważniejszy niż związany z przestępstwami mniejszego kalibru mały świadek koronny.

„Sześćdziesiątek” jest dziś więcej?

M.G.-W.: To jest bardzo powszechna instytucja, przynajmniej w porównaniu z liczbą świadków koronnych. Tu nie są wymagane żadne formalne procedury, wszystko opiera się na porozumieniu między prokuraturą a podejrzanym, który chce opowiedzieć o znanych mu przestępstwach. Zastosowanie tej instytucji, czyli faktyczne przyznanie statusu i złagodzenie kary, następuje dopiero na etapie wyrokowania. A zatem inaczej niż w przypadku świadka koronnego, który staje się nim przed zakończeniem procesu. Pamiętajmy jednak, że nadzwyczajne złagodzenie kary, wynikające z artykułu sześćdziesiątego Kodeksu karnego, może też mieć inne podstawy faktyczne niż „sypanie” innych sprawców. Ustawodawca szeroko zakreślił tu możliwości mitygowania sankcji karnych. Natomiast faktem jest, że w naszym prokuratorsko-policyjnym, a i sędziowskim żargonie tą „sześćdziesiątką” kolokwialnie nazywamy głównie tych, którzy poszli na współpracę z nami.

Czym jeszcze różnią się te statusy?

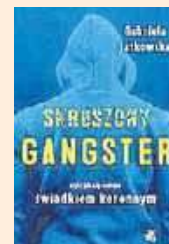
P.W.: Mały świadek koronny zawsze ponosi jakąś odpowiedzialność. Świadek koronny dzięki swoim zeznaniom tej odpowiedzialności unika, przypomnijmy tylko, że warunkiem koniecznym jest dziś zwrot korzyści osią-

gniętych z przestępstwa. Ponadto koronny musi się zmierzyć z pewnymi dolegliwościami. Nie może niczego zataić ani – co ważne – odmówić zeznań na temat swojej rodziny! Łatwo sobie wyobrazić, jaką może to być zmorą. Musi przyznać się do wszystkich przestępstw. Opowiedzieć o tym, co zrobił, działając w grupie przestępczej, i o przestępstwach swoich niedawnych kolegów. Mały świadek koronny nie musi mówić o wszystkim. Może sobie pozwolić na zatajenie niektórych faktów. Z tym że jeśli zatai, a w trakcie procesu okaże się, że dokonał przestępstw, poniesie za nie odpowiedzialność.

Rozwijemy pewną ważną wątpliwość związaną z tym, kto może zostać świadkiem koronnym, a kto „sześćdziesiątką”. Chodzi o kwestię zabójstwa dokonanego przez takiego kandydata. Koronny nie może mieć na koncie zabójstwa, a mały świadek koronny?

M.G.-W.: W przypadku ubiegania się o ten drugi status nie ma znaczenia, czy podejrzany dokonał zabójstwa lub też je zlecał. Nie obowiązuje tu taki sam wymóg jak przy świadku koronnym. Gdyby w trakcie postępowania okazało się, że kandydat w pierwszej sprawie, w której liczy na złagodzenie kary, jest podejrzanym o zabójstwo, to formalnie nie zamyka mu to szans na uzyskanie statusu małego świadka koronnego. Oczywiście mogą pojawić się wątpliwości, czy w związku z tym należy występować dla niego o nadzwyczajne złagodzenie kary. Wtedy szczególnie wnikliwie oceniamy całość: co możemy zyskać, kim jest ta osoba, jak wygląda ta sprawa o zabójstwo.

KSIAŻKA



Gabriela Jankowska
„Skruszony gangster”,
wyd. W.A.B.,
Warszawa 2021
cena 39,99 zł

Odkryto pałac cesarza Ottona I

Mariusz Grabowski
mariusz.grabowski
@polskaiexpress.pl



Historia

Pod polem kukurydzy w saksońskim Lutherstadt Eisleben, 20 km od Halle, odkryto ślady po centrum administracyjno-sakralnym cesarza Ottona I Wielkiego.

Archeolodzy mówią, że konkretnie odkryto tzw. ściany fundamentowe kościoła z X w., zbudowanego przez Ottona, będącego wówczas pierwszym cesarzem rzymsko-niemieckim. A także władcą, który rządząc sporym kawałkiem świata prawdopodobnie ściągając daninę także od Mieszka I.

Tajemniczy Helpideburg

Co wiemy o znalezisku? To przede wszystkim kościół, który został wybudowany prawdopodobnie w latach 60. X w. i był poświęcony św. Radegundzie, królowej Francji z VI w. Kierownik projektu badawczego - prof. Felix Biermann wyjaśnia, że sześć lat na 66 stóp konstrukcja została zaprojektowana jako trójnawowa mini katedra.

Była ona wielokrotnie wymieniana w niemieckich kronikach jako „Helpide” i „Helphideburg”, bowiem miejsce to pełniło niezwykle istotną rolę w historii cesarstwa. Wiadomo, że znajdował się tam królewski pałac, co najmniej kilkakrotnie odwiedzany przez Ottona I Wielkiego oraz jego syna Ottona II (władca posiadał jeszcze kilka innych kompleksów składających się z pałaców i położonych w ich pobliżu kościołów na terenie całego imperium). W 994 r. późniejszy cesarz Otton III wymienił w dokumencie Helpideburg, już pod nazwą Eisleben, jako jedną z sześciu miejscowości, która otrzymała przywileje targowe, włącznie z prawem celnym i prawem do własnej monety. Kościół działał tu przez pięć wieków, a ostatecznie został zburzony podczas reformacji protestanckiej.

Badacze donoszą, że podczas wykopalisk odkryto również cmentarz z 70 grobami i kilkoma kamiennymi grobowcami. Według nich było to miejsce pochówku arystokratycznych rodzin z regionu. Poza tym znaleziono m.in. piec kafłowy z XIV i XV w., fragmenty dzwonu, monety, brązowe sprzączki do pasów, noże, emaliowany krucyfiks wykonany w Limoges oraz pochodzące z czasów osmańskich i wykonane z brązu ema-



Otton I był królem niemieckim od 936 r. i Świętym Cesarzem Rzymskim od 962 r. Został koronowany na króla w Akwizgranie, na cesarza w Rzymie. Zmarł w 973 r.

liowane broszki ze szklanymi i krustacjami.

Książę, król, cesarz

Odkrycie w Eisleben to kolejny dowód na to, że Otton I był najważniejszą postacią europejską X w. Ojciec Ottona Henryk I Ptasznik był pierwszym królem niemieckim z dynastii saskiej (Ludolfingów - od nazwy rodu książęcego panującego w Saksonii). Objął władzę w 919 r., osiem lat po śmierci ostatniego przedstawiciela linii tzw. Karolingów niemieckich (wschodniofrankijskich) - Ludwika IV Dziecię. Od tego momentu o wyborze na króla nie decydowało prawo dziedziczenia tronu, lecz elekcja dokonywana przez możnowładców.

Wedle kronik Otton urodził się 23 listopada 912 r. jako książę saski, a w 936 r. został królem Niemiec, choć Henryk I ofiarował tron niemiecki synowi Ottonowi jeszcze za swego życia, w 929 r. Według niemieckiego mediewisty Stefana Weinfurtera, autora „Niemiec w średniowieczu 500-1500”, wybór ten zapowiadał powstanie nowego typu władcy średniowiecznego. „Odtąd miał być w państwie jeden władca, nazywany z grecka >>>monarchą<<. Niepodzielność królestwa stała się faktem. Zmiana ta spowodowała, że wyjątkowość pozycji monarchy demonstrowano odtąd i celebrowano w szczególny sposób” - pisał.

tona II z księżniczką Teofano, krewną cesarza bizantyjskiego Jana I Tzimiskesa.

Cesarz a Mieszko I

„Cesarstwo Ottona opierało się na wielkich sukcesach wojennych tego władcy i zdobytych nowych polach wpływu w świetle italsko-środkowomorskim. Do tego dochodziła jego polityka na wschodzie, gdzie w Magdeburgu stworzył nowy ośrodek nad Łabą i tym samym stał się specjalistą od misji w krajach słowiańskich” - napisał Weinfurter.

Aby zwiększyć bezpieczeństwo królestwa Otton wzmocnił szczególnie zagrożone od cinki granicy. Dla obrony przed najazdami pogańskich Słowian połabskich w 937 r. utworzył w południowo-wschodniej części Saksonii Marchię Wschodnią. Stworzył szereg ośrodków administracyjnych - jednym z nich był odkryty właśnie Helpideburg.

Trybut Ottonowi płacił m.in. nasz książę Mieszko I. Chociaż jednak Mieszko uznał zwierzchnictwo Ottona jeszcze w roku 963, historia związków Polski i Niemiec była pełna zwrotów, a zwierzchnictwo nie miało ścisłego charakteru. Mieszko zachował pozycję „przyjaciela” cesarza, zaś na potrzeby misji wśród Słowian Otton założył w 968 r. nowe arcybiskupstwo w Magdeburgu.

Tu wybiegniemy nieco w przyszłość: w 986 r. w Kwe-dlinburgu książę Polan postanowił po raz kolejny podporzą-

kować się cesarzowi, tym razem Ottonowi III. Władce cesarstwa, wówczas jeszcze bardzo młodego, Mieszko zapewnił o swej lojalności jako wasala, a także podarował mu żywego wielbłąda - egzotyczny dar świadczący o kontaktach handlowych naszego kraju. W ten sposób Mieszko, a później i jego syn, Bolesław, zyskali sobie przychylność młodego cesarza.

To ważne, bowiem wcześniej nie zdołali zdobyć przychylności jego ojca, Ottona II. Ponieważ Otton III miał w Niemczech wielu przeciwników, wsparcie Mieszka było dla niego dosyć istotne. Pojednanie polsko-niemieckie w Kwe-dlinburgu przyniosło także inne skutki. Gdy książę czeski wystąpił przeciw Ottonowi III, sprzymierzył się z pogańskimi Wiele-tami. Doprowadziło to do konfliktu polsko-czeskiego, w którego wyniku książę Polan zyskał Śląsk i być może również Małopolskę.

Otton I Wielki

Wróćmy do odkrycia w Lutherstadt Eisleben. Niemcy już od dawna szukali śladów po legendarnym Helpideburgu, ale bezskutecznie. Dopiero w ostatnich latach badania geofizyczne skoncentrowane na dwóch wzgórzach w okolicy, wykazały, że mniejsze z nich - tzw. „Kleine Klaus”, a nie jak wcześniej sądzono miejsce w którym dawniej stał klasztor Cystersów, było właściwym centrum kompleksu administracyjno-sakralnego.

Dzisiejsze okoliczne pola rolne również w żaden sposób nie wskazują na dawną chwałę tego miejsca. Nic nie pozostało po potężnych niegdyś umocnieniach i budynkach co dowodzi metodycznością, z jaką protestanci zacierali katolickie ślady na tych terenach. Eisleben to przecież rodzinne okolice Marcina Lutra, stąd oficjalna nazwa miasta.

Tradycja nadała Ottonowi I przydomek Wielki. „Od czasu Karola Wielkiego nie zasiadał na tronie królewskim żaden tak wielki władca i obrońca ojczyzny. (...) Gdyby nawet moja wymowa zesłała się z moją wiedzą i pamięcią, nie starczyłoby razem, by opisać sławne czyny cesarza. Jakim był cesarz, takimi również byli jego książęta. Nie nęcił ich zbytek ani rozmaitość jadła czy innych rozkoszy, lecz we wszystkim złotego trzymali się środka. Wszystkie cnoty, o których czytamy w historii, kwitły za ich życia, zwiędły po ich śmierci” - pisał w „Kronice” o Ottonie I biskup merse-burski Thietmar.

Sukcesję po cesarzu przejął jego syn - Otton II (973-983), a następnie wnuk Otton III (983-1002). 40-lecie obejmujące lata 962-1002, określane także jako Cesarstwo Ottonów, uznawane jest przez historyków za złoty okres średniowiecznej historii Niemiec. Cesarstwo, którego twórcą był Otton I, nazywane także Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego lub I Rzeszą Niemiecką, przetrwało aż do 1806 r.

REKLAMA

0510184282



NOWY
NUMER



nasza
HISTORIA

Tragiczne dzieje

legendarnego Liceum Krzemienieckiego na Wołyniu

Pytaj w kioskach i salonach prasowych

Polska kuchnia to nie tylko schabowy z kapustą, pierogi i tłuste sosy

Robert Migdał

robert.migdal@gazeta.wroc.pl



Rozmowa

Pomidor nie powinien trafić na nasz talerz z Hiszpanii. Najlepszy jest taki, który jeszcze przed chwilą wisiał na krzaczku obok domu i ma w sobie całe słońce, życie rośliny. Na tym polega dobro wiejskiego jedzenia, że ma w sobie tę energię - mówi Natalia Sosin-Krosnowska, autorka książki „Rozmowy przy stole”.

Czy Polacy wciąż lubią biesiadować, siedzieć przy stole, rozmawiać, smakować, czy też już jedzą w pośpiechu, w biegu, łapią, tykają byle co, byle jak...

I jedno, i drugie jest prawdą. Biesiadowanie, przyjmowanie gości jest głęboko zakorzenione w naszej kulturze. Gościnność jest wręcz w naszej naturze. Ale rzeczywistość, niestety, wygląda tak, że większość z nas jest w biegu - byle co, byle jak, byle szybko. A przecież to, jak jemy, w dużej mierze zależy od tego, jaki mamy tryb życia i gdzie pracujemy. Mało kto może sobie pozwolić na co dzień na to, żeby zjeść w spokoju porządny obiad, bo przeżwanie w pracy nie ma stołówek, nie ma normalnych przerw obiadowych. I dlatego często obiad zastępuje nam kanapka zjedzona przy biurku lub różne diety pudełkowe dostarczane bezpośrednio pod drzwi.

A samo gotowanie, przyjmowanie gości w domu?

To jest dla nas coś wyjątkowego, co robimy w weekendy, przy okazji jakichś większych uroczystości rodzinnych. Na pewno nie na co dzień. Polacy ogólnie lubią dobrze zjeść, tylko sama jakość jedzenia dostępnego powszechnie w sklepach bardzo spadła.

To fakt. Musimy długo szukać dobrych produktów, z których możemy ugotować coś dobrego. Ja sam staram się kupować warzywa od rolnika ze wsi, sąsiad ma dojście do pani, która w podwrocławskiej wiosce hoduje kury i od niej kupuję jajka...

Cały czas szukamy lepszych produktów, niż te które są w sklepach. Supermarkety

w dużej części wyparły małe sklepiki, takie osiedlowe, blisko domu, które sprzedawały dobre rzeczy. Często nie mamy swojego warzywniaka w najbliższej okolicy, tylko idziemy na większe zakupy i kupujemy akurat to, co tam jest. Można w nich oczywiście trafić na różne produkty ekologiczne, tylko jest ich mały wybór.

A do tego są droższe od „zwykłego” jedzenia...

Jestem bardzo daleka od tego, żeby krytykować ludzi, którzy nie jedzą produktów ekologicznych, bo nie ukrywamy - one nie są tak tanie, jak te, które są dostępne powszechnie. Uważam, że staramy się dobrze jeść, zdrowo, ale to nie jest prosta sprawa: bo albo trzeba na to wydać dużo pieniędzy, albo trzeba mieć jakieś dojścia, np. babcię, ciocię, znajomych na wsi...

...albo dużo wolnego czasu, żeby samemu jeździć, szukać, wybierać i przebierać. A ten czas, jeśli mamy go więcej dla siebie, sprzyja temu, że coraz częściej lubimy gotować - z przyjaciółmi, z rodziną?

Tak i to jest cudowne. Nie wiem, co jest powodem: czy różne programy kulinarne w TV, czy może to, że już nasyciliśmy się innymi formami odpoczynku. Gotujemy i w domach, ale też - gdy jest taka piękna pogoda za oknem - idziemy na piknik do parku: każdy z uczestników przynosi coś, co sam przygotował. To takie imprezy składkowe. I tak spędza się czas: to jest świetne. Też zauważyłam, że coraz rzadziej jest tak, że tylko jedna osoba wydaje przyjęcie, gotuje kilka potraw dla innych. Ludzie coraz bardziej lubią nie tylko przyjść i zjeść, ale też lubią uczestniczyć w samym procesie przygotowywania. To wspólne gotowanie jest samo w sobie przyjemnością.

Gotujemy, jemy, smakujemy... Chyba też ostatnio zmienia się podejście wielu osób do samego jedzenia - nie jemy po to, żeby się najeść, żeby zabić głód, tylko jemy dla przyjemności samego jedzenia, jedzenia z innymi, przy rozmowie, zabawie...

To jest bardzo piękne, że wspólne jedzenie jest jedną z form wspólnego spędzania czasu. Przyjęcia nie ogranicza-

ją się tylko do tego, że to jest alkohol i jakieś gotowce - chipsy, orzeszki. Ludzie coraz częściej starają się, żeby jedzenie było wyszukane. Zauważyłam też, że na co dzień Polacy jedzą lepiej niż kilka lat temu. Świadomość tego, jak bardzo różnorodna jest kuchnia, ogromnie się zmieniła.

A kuchnia polska to taka sinusoida - bardzo się zmienia przez ostatnie dekady. Wystarczy poczytać książki pani Marii Iwaszkiewicz - w nich wiadać, że kiedyś kuchnia w Polsce była i wykwintna, i twórcza. Bo jednak czasy biedy i to, jak toczyła się historia naszego kraju, spowodowały, że ludzie w kuchni byli bardzo kreatywni w kwestii gotowania: musieli umieć zrobić coś z niczego. Potem przyszedł PRL i pustki w sklepach, potem zachłystaliśmy się możliwością wyjeżdżania i smakowania jedzenia za granicą. W tym ostatnim czasie polska kuchnia była traktowana jak jakaś gorsza...

Po macoszemu była traktowana.

Dokładnie. Kiedy na potrzeby mojej książki pytałam ludzi, z czym kojarzy im się kuchnia polska, to wszyscy mówili: tłuste, mięsne potrawy, rolady, pierogi...

Schabowy z kapustą i ziemniakami...

Takie jedzenie pomiędzy barem mlecznym a jakąś kuchnią. Obraz kuchni polskiej był taki, że jest ona niewyszukana.

A przecież to nie jest prawda.

Oczywiście, że nie, bo polska kuchnia jest bardzo różnorodna. I to, że żyjemy akurat w takiej strefie klimatycznej powoduje, że mamy bardzo dużą możliwość pozyskiwania i świetnych warzyw i owoców...

No i jaka jest różnorodność produktów regionalnych. Ostatnio kupiłam oscypek majowy.

Słow food polega na tym, że korzystamy z produktów, które przebyły najkrótszą drogę z ogrodu na stół. To jest kuchnia produktu

Co to takiego?

Na samym początku maja, tylko przez trzy tygodnie, bace zaczynają wyprowadzać owce na hale. Wtedy trawy jest wystarczająco dużo, ale tylko tyle, żeby owce się wyżywiły, a jest jej za mało, żeby wyprowadzać krowy. I tylko przez te trzy tygodnie maja oscypek jest robiony w 90% z mleka owczego. To jest wyjątkowy rarytas, który jest chroniony znakiem produktu regionalnego, takim samym jaki np. jest przyznawany parmezanowi. To jest taki nasz polski, wyjątkowy ser. Kosztuje około 60 złotych za kilogram - dużo jak za ser, ale z drugiej strony jesteśmy skłonni zapłacić za parmezan około 90 złotych za kilogram.

Dobre, bo polskie.

Polacy powinni zdawać sobie sprawę z tego, że coś, co jest polskie, może być dobre i warto za to sporo zapłacić. Mamy opory, żeby wydać pieniądze na polskie produkty, a lekką ręką płacimy dużo za frykasy sprowadzane z Hiszpanii, czy Włoch. Warto, żeby to się zmieniło.

Polska kuchnia nie jest doceniana. A przecież mamy bogactwo kasz, warzyw, dziczyzny, serów. Przez lata byliśmy jednak przyzwyczajeni do bigosu, zawieszonych i tłustych sosów, ciężkich, mącznych potraw.

Bo chodziło o to, żeby się najeść i mieć siłę do pracy w fabryce. A teraz, na szczęście, jest troszeczkę inaczej. Kuchnia polska była rzeczywiście kuchnią prostą - a teraz - mając te same składniki, możemy poszukiwać nowych smaków, łącząc je w nietuzinkowy sposób.

A nasz polski schabowy? Broni się?

Sam nie uważam, że schabowy jest jakimś „chamskim” daniem. To jest kawałek mięsa, jakim przez lata żywnością w naszej strefie klimatycznej. Nie wiem, czemu miałyby być gorszy w czymkolwiek od szynki parmeńskiej, albo szynki wiedeńskiej. Może trochę ten schabowy, jako nasz, polski kotlet, przez lata nam spowszedniał, ale teraz odkrywamy go na nowo, doceniamy jego smak. Bo polskie jedzenie jest bardziej wartościowe od tego na zachodzie Europy, czy w Stanach Zjednoczonych. Nie jest jeszcze tak

bardzo ujednolicone, tak bardzo skażone chemią. Mamy w Polsce dużo dobrego, prostego, prawdziwego jedzenia. To wielka wartość naszej kuchni.

Odkrywamy też na nowo kuchnię naszych mam, babć, doceniając ją, ale też trochę modyfikując, pod siebie, dodając jej ciut nowoczesności.

Widzę bardzo mocny trend, że np. potrawy bardzo tradycyjne naszych babć i cioć Polacy przerabiają na wersje wegetariańskie albo wegańskie. I to jest bardzo ciekawe, że odnajduje się te stare smaki w zupełnie innym wykonaniu.

Lubimy babcią kuchnię, bo przywołuje bez troski czas.

Wszyscy mamy w sobie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to babcia nas karmiła. I kiedy w domu zrobimy sobie danie ze starego przepisu, to nagle człowiek czuje się dobrze, taki zaopiekowany - nie tylko ma zapełniony brzuch, ale też jest szczęśliwy, bo takie jedzenie przywołuje pozytywne wspomnienia. Ja często, kiedy rozmawiałam z ludźmi o jedzeniu, to pytałam się, jak w amerykańskim filmie: „Jakbyś miał wybrać jeden posiłek, który miałbyś zjeść przed śmiercią, to co by to było?”. I bardzo często ludzie mówili: „Pomidorówka mojej babci”, albo „Kotleciki mojej mamy”. I to nie były wcale jakieś wyszukane potrawy, tylko coś takiego, co jednoznacznie kojarzyło się z ciepłem, z bezpieczeństwem. Uważam, że jedzenie łączy nas na wiele najróżniejszych sposobów: np. na całym świecie, na wszystkich kontynentach, ktoś kiedyś wpadł, żeby kawałek mięsa trzymać pomiędzy kawałkami pieczywa. I u nas to się nazywa kanapką, a Arabowie jedzą pite z mięsem. Wszędzie to istnieje - na ten sam sposób jedzenia wpadaliśmy niezależnie od siebie. Jedzenie nas łączy.

Kuchni polskiej nie powinniśmy się wstydić...

Oj, nie. Jeżdżę po całym kraju, odwiedzam różne gospodarstwa agroturystyczne i za każdym razem zjadam się daniami, które są bardzo proste, a niesamowicie smaczne. Opierały się jednak na tym, że na talerz trafiał fantastyczny pomidor, który dojrzewał w ogródku 50 metrów od stołu, że ziemniaki były z pola obok, że ser robiła pani sąsiadka ze wsi. To jest kuch-

nia produktu. Myślę, że na tym polega slow food, że korzystamy z produktów, które powstały niedaleko, przebyły najkrótszą drogę z ogrodu na stół - to nie jest coś, co zapakowane w plastik, opryskane jakimiś środkami grzybobójczymi, podróżowało przez tysiące kilometrów w chłodni. Pomidor nie powinien trafić na nasz talerz z Hiszpanii, tylko taki, który jeszcze przed chwilą był na krzaczku i ma w sobie całe słońce, życie rośliny. Na tym polega dobro wiejskiego jedzenia, że ma w sobie tę energię.

Moda jest też wśród Polaków na kuchnię sezonową: kiedy jest w ogródku dynia, to gotujemy zupę dyniową, kiedy jest sezon na bób, to jemy go w ilościach hurtowych: w salatkach, smażony, gotowany, zmielony...

Mówimy „nie” mrożonkom. Lubimy rzeczy sezonowe, które dojrzewają obok nas. Proszę zobaczyć, z jaką radością witamy młode ziemniaki - przecież mogą być one podane tylko z masłem i koperkiem i robią za wyjątkowy obiad.

Do tego kefir, i jajko sadzone...

Ta sezonowość, ta lokalność, to jest coś, co na nowo odkrywamy, czym się na nowo cieszymy. Był przecież okres, kiedy wszyscy zachwycali się i zjadali sushi, burgerami, jedzeniem meksykańskim... To wszystko oczywiście jest świetne, smaczne - to jest bardzo dobra kuchnia, natomiast nadal wracamy do polskich smaków.

Ostatnio mam wrażenie, że coraz bardziej. Czemu tak się dzieje?

Może trochę przez pandemię koronawirusa. Nie wybiegaliśmy się za granicę, bo nie było można, ale zaczęliśmy częściej zwiedzać różne zakątki Polski. I okazało się, że nie mamy się czego kulinarnie wstydić. I że polskie jedzenie jest i dobre, i zdrowe, i że dobrze się po nim czujemy. To też jest kluczowe - jedną rzeczą jest smak, a drugą to, jak się człowiek czuje po zjedzeniu czegoś. Zazwyczaj po zjedzeniu takiego rzetelnego, dobrego posiłku jak u babci, czujemy się bardzo dobrze.



Natalia Sosin-Krosnowska: Zwyczajny, biały ser może smakować inaczej na południu Polski, a inaczej na północy

Kiedy jeździła pani, zbierając materiały do swojej książki „Rozmowy przy stole”, po różnych regionach Polski, to pewnie widziała różnorodność tej naszej polskiej kuchni. Co region, to niespodzianka, zaskoczenie kulinarne?

W każdym regionie odkrywałam zupełnie inne smaki. Zwyczajny, biały ser może smakować inaczej na południu Polski, a inaczej na północy - raz jest przygotowywany na słodko, za innym razem na słono. Oprócz serów jest mnóstwo wędlin regionalnych. I też całe potrawy. Trafiłam na zupełnie dziwne, zaskakujące połączenia smaków. Np. jadłam fuczki, czyli cudaki - to są placuszki zrobione z kiszonej kapusty i ciasta naleśnikowego. Takie połączenie nigdy by mi nie przyszło do głowy, a to jest regionalne danie z pogranicza Bieszczad i Bieszczad. Albo proziaki - coś w rodzaju podpłomyków, tylko bardziej puszyste, też robione na blasze pieca. Nazywają się proziaki, ponieważ soda oczyszczona, która jest używana do ich robienia, była kiedyś w gwarze nazywana „prozą”. To było takie codzienne, prozaiczne jedzenie. I nagle okazuje się, że nie trzeba kupować bułek w supermarkecie, tylko można sobie zrobić proziaki w domu. Albo jednym z ulubionych dań z mojej książki, którym zjadałam się całe ubiegłe lato, jest omelet na kiszonej kapuście z... miodem. Odkrywałam w kuchni polskiej, regionalnej, drobne patenty, jakieś inne, nieoczywiste rozwiązania, które powodują, że coś, co znaliśmy, nagle jest jakimś zupełnie nowym smakiem.

W pani książce są też przepisy na smalec z fasoli, deser z ogórka z pistacjami, zupę z pokrzywy, sałatkę z makreli. Trochę eksperymentalne potrawy, a jednak proste do zrobienia.

Bardzo mi zależało, żeby to były przepisy bardzo przystępne. Bardzo nie lubię, kiedy mam jakąś książkę kucharską przed sobą, otwieram i chciałabym sobie coś ugotować, a składniki to lista zakupów rodem ze sklepu „kuchnie świata”. I to mnie od razu zniechęca. Chciałam, żeby u mnie były przepisy, które każdy z łatwością będzie mógł odtworzyć w domu, w swojej kuchni - niezależnie, czy mieszka w bloku, czy na wsi. I to z produktów, które kupi w pobliskim sklepie.

Sporo czasu spędziła pani na Dolnym Śląsku. To takie dziwne, kulinarne miejsce, w którym łączy się kuchnia i lwowska, i wileńska, i z centralnej Polski, ale i kuchnia niemiecka, ży-

dowska, grecka, francuska - wszystko to dzięki przesiedleńcom na Ziemię Odzyskaną. Niektórzy mówią, że przez te ponad 70 lat od zakończenia wojny, z pomieszania tych wszystkich smaków, powstała kuchnia dolnośląska.

Uwielbiam Dolny Śląsk. Tu jest miejsce, które stało się motorem napędowym tego, że postanowiłam napisać książkę „Rozmowy przy stole”. To Villa Greta w Dobkowie. W małej wioseczce jest restauracja, która jest wymieniana w słynnym żółtym przewodniku Gault&Millau - tam jest jedzenie na poziomie najlepszych miejskich restauracji. A ich sukces polega na tym, że są tam lokalne produkty, a w kuchni jest połączenie różnych inspiracji: kuchni polskiej i niemieckiej. Babcią właścicielką była Niemką, dziadkiem Polakiem z Kresów - i to połączenie kuchni Wschodu i Zachodu tam widać, czuć. Też uważam, że istnieje już coś takiego jak kuchnia dolnośląska - to jest właśnie to połączenie kuchni kresowej, z zachodnio-europejską. To kuchnia osób przesiedlonych na Dolny Śląsk, którzy przywieźli ze swoich rodzinnych stron różne smaki i dodali je do miejscowej kuchni, ale też duży wpływ kuchni niemieckiej, czeskiej. Dolnośląska kuchnia jest bardzo ciekawa - jestem nią zafascynowana. Polecam wycieczki kulinarne na Dolny Śląsk.

KSIAŻKA



NATALIA SOSIN-KROSNOWSKA

- dzieciństwo spędziła na wsi, młodość w Krakowie, a większość dorosłego życia w Warszawie, z której po kilkunastu latach przeniosła się z powrotem na wieś. Dziennikarka, która od 2014 roku współtworzy i prowadzi program Daleko od miasta. Rysuje, maluje, fotografuje, uwielbia remonty, a jej największym talentem jest umiejętność słuchania ludzi i opowiadania historii. W 2018 roku wydała swoją pierwszą książkę Ciska i spółki. Cała prawda o życiu daleko od miasta.

Wakacyjne wędrówki po Podkarpaciu. Bieszczady mniej znane



FOT. WOJCIECH ZATWARNICKI (1)

Bieszczady przyciągają zwłaszcza miłośników wędrówek. Ale kryją w sobie też wiele tajemnic, które warto odkryć

Wojciech Zatwarnicki
magazyn@nowiny24.pl

Turystyka

Zdawałoby się, że o Bieszczadach już wszyscy wszystko wiedzą i wszyscy wszędzie byli. Są jednak takie miejsca i historie, o których mało kto wie.

Bo kto wie kim był odkrywca ropy naftowej w Polanie? Ten poszukiwacz miłosnych przygód był właścicielem największej kopalni ropy naftowej w ówczesnej Polsce. Nie on jeden zapisał się w historii Bieszczad. Wszystkim znane jest nazwisko Fredro. Ojciec Aleksandra Fredry, autora m.in. „Zemsty” w okolicach Cisnej posiadał kopalnię i zajazd w Hoczwi. Dziś w miejscu karczmy znajduje się sklep spożywczo-przemysłowy. A czy odwiedzając Arłamów, oprócz skojarzeń z Lechem Wałęsą, ktoś zdaje sobie sprawę, że nazwa miejscowości pochodzi od nazwy jeńców tatarskich? Takich miejsc w Bieszczadach jest wiele. Nie sposób je wszystkie opisać. Oto kilka z nich.



KOŚCIÓŁ W HOCZWI

Kościół w Hoczwi ufundowała rodzina Fredrów. To barokowy zabytek, wewnątrz którego znajdują się trzy ołtarze, ambona i chór. W ołtarzu głównym znajduje się obraz przedstawiający św. Annę Samotrzec. Pochodzi z XVII wieku.



GROTA W ROSOLINIE

Wieś powstała na początku XVI wieku. Pierwsza informacja o jej istnieniu pochodzi z roku 1540 i mówi: „W Rossolinie łanów cztery...knyasz spodem napoly”. Tłumaczymy to, jako: Rosolin to cztery łany, po połowie dla kniazia i popa. W roku 1705 powstała tu cerkiew; obecnie znajduje się w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Do dzisiaj pozostało po Rosolinie kilka dziedzicznych sadów i fundamenty po dawnej zabudowie. W pobliżu znajduje się niewielka grotta erozyjna – na mapach oznaczana jako jaskinia.



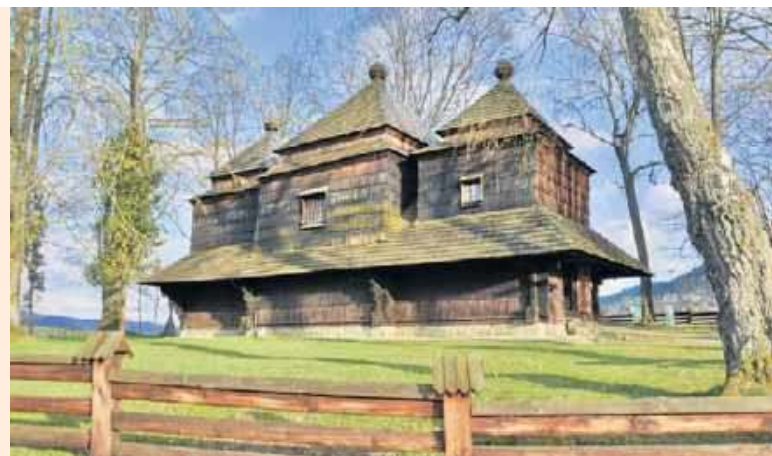
ŁOPIENKA - MIEJSCE KULTU

Wieś leży u stóp Łopiennika nad jednym z dopływów Solinki. Lokowano ją na początku wieku XVI w dobrach Balów z Hoczwi. Od XVIII wieku miejscowość znana była w całej Galicji za sprawą słynącej z łask ikony Matki Bożej. Ikona została namalowana na początku wieku XVII i stanowi kopię słynnej ikony z Werhraty koło Lubaczowa (dziś na terenie Ukrainy). Oryginał znajduje się w kościele w Polańczyku, natomiast w Łopience umieszczono kopię.

SZLAK ARCHITEKTURY DREWNIANEJ

Szlak Architektury Drewnianej na Podkarpaciu ma długość 1202 km i podzielony jest na 9 tras. W Bieszczadach znajduje się trasa (ustrzycko-leska) nr III i jej wariant III a.

Najczęściej spotykanymi obiektami są drewniane cerkwie. Nie brak jednak innych cennych zabytkowych kościołów i obiektów zabytkowej techniki. Trasa nr III SAD biegnie przez: Łodynę, Liskowate, Wojtkową, Roztokę, Kuźminę, Średnią Wieś, Stefkową i Równię. Wariant IIIa przebiega przez: Hoszów, Rabe, Żłobek, Czarną, Bystre, Michniowiec, Polanę, Smolnik i Chmiel.



Koszty remontu mieszkania rosną niemal z dnia na dzień



Zbigniew Biskupski
z.biskupski@polskatimes.pl

Wydatki

Siła złego na jednego! Zwiększona w tym roku liczba osób przeprowadzających remont, bo w ubiegłe lato niepewna sytuacja kazała grać na zwłokę. Ponadplanowy popyt windując ceny materiałów budowlanych i usług. A na dodatek wysoka inflacja, przez którą realna wartość pieniędzy, którymi dysponujemy regularnie topnieje.

Lato to czas, na który wielu właścicieli domów czy posesji planowało prace remontowe - naprawy dachów, wymiany okien, malowanie i inne. Osobna kategoria to prace związane z podnoszeniem efektywności energetycznej budynków jak ocieplenie elewacji czy wymiana źródła ciepła. Te są stymulowane przez finansowania z rządowych programów np. Czyste powietrze.



FOT. 123RF

Coraz trudniej kalkulować koszt remontu z powodu cen

Z analizy portalu Oferteo.pl wynika, że pierwsze miesiące 2021 roku wygenerowały rekordowy popyt na usługi remontowe. W porównaniu do analogicznego okresu w 2020 roku liczba zleceń wzrosła 2,5 raza. Najczęściej zlecaną usługą jest malowanie, ale wysoko znalazł się także, między innymi, remont instalacji elektrycznej.

Niestety, plany i szacunki kosztowe robione zimą, a nawet

wiosną, teraz stały się już nieaktualne. Powodem jest inflacja, która w czerwcu wyniosła 4,4 proc. w skali roku. W maju było to 4,8 proc., a więc najwięcej od prawie dekady.

Ceny materiałów budowlanych rosną jednak dużo szybciej niż średnia i w dużej części nakręcają rekordy inflacji. Od stycznia do maja ceny wzrosły w 19 grupach towarów budowlanych (spośród 20) w ujęciu rok do roku. Niektóre grupy towarów podrożały nawet o 1/4 - jak płyty OSB o 24 proc. W przypadku suchej zabudowy czy izolacji termicznych wzrosty to odpowiednio 12,9 proc. i 12,5 proc.

Rosnąca inflacja sprawia, że firmy budowlane kupują na zapas - im szybciej kupią, tym będzie taniej. Szczególnie że w budowlance sezon w pełni. Żeby nie ponosić dodatkowych kosztów i nie tracić na rosnących cenach materiałów, budowlanci robią zapasy.

Wolać mieć na stanie materiały i surowce do przyszłych prac niż gotówkę. Nie zawsze jednak są w stanie od ręki zapłacić za materiały, które wykorzy-

stają do prac za miesiąc czy dwa.

- Widzimy to w naszej firmie przez rosnące wzięcie mikrofinansowania. Przedsiębiorcy budowlani kalkulują prawidłowo - przewidzą za takie finansowanie jest znacznie niższe niż wzrost cen wielu materiałów budowlanych. Przedsiębiorca może zamówić większą ilość produktów potrzebnych mu do realizacji zleceń, nie płacąc za nie od razu - mówi Marek Sikorski, dyrektor sprzedaży w Finea.

Taki model finansowania to faktoring odwrotny lub inaczej zakupowy. Pozwala budowlancom zmniejszyć koszty materiałów lub raczej powstrzymać ich wzrost. Pozwala to wolniej podnosić ceny dla indywidualnych odbiorców ich usług.

Niestety, klient musi za materiały budowlane i usługi wykonawcy płacić gotówką. Często więcej, niż zakładał kosztorys, nawet jeśli uwzględnił w nim zakładkę na wzrost cen. Oczywiście, zakupów ratalnych czy kredytu, ale to koszty jeszcze wyższe niż sam wzrost cen kupowanych produktów.

Planowanie urlopu: Duży bagaż możemy wysłać przez kuriera

Podróż

Zbigniew Biskupski
zbigniew.biskupski@polskapress.pl

Teraz częściej spędzamy wakacyjne urlopy w kraju, wynajmując apartamenty pozwalające na gotowanie, pranie i inne czynności. Siłą rzeczy musimy zabrać więcej bagażu.

W takiej sytuacji najlepszym rozwiązaniem problemu będzie skorzystanie z usług firmy kurierskiej. Wiele z nich świadczy takie usługi nawet wówczas, gdy wybieramy się w podróż za granicę. Konieczność nadania bagażu kurierem może pojawić się zresztą w różnych innych sytuacjach życiowych.

- Każda walizka ma inny rozmiar i wagę, a firmy kurierskie stosują różne limity. Zanim więc zaczniemy pakowanie, dobrze sprawdzić, jakie mamy możliwości w tym zakresie. Najłatwiejszą opcją będzie zmierzenie walizki i dodanie do poszczególnych wymiarów kilku centymetrów oraz wstępne oszacowanie wagi, jaką może mieć - radzi mówi Marta Gaińska, operations ma-

nager w firmie Furgonetka. Po wykonaniu takich czynności możemy sprawdzić, jak kształtują się ceny w różnych firmach kurierskich.

Bagaż najlepiej jest zapakować w karton, gdyż tylko wtedy będzie traktowany jak przesyłka standardowa. Walizka owinięta wyłącznie w folię zostanie zakwalifikowana jako przesyłka niestandardowa, a jej nadanie będzie dużo droższe.

W przypadku wysyłki do paczkomatu ciężar przesyłki wraz z opakowaniem nie może przekraczać 25 kg. Niektóre firmy kurierskie dopuszczają jednak możliwość nadania przesyłki standardowej o wadze do 32 kg.

Gotową przesyłkę trzeba zważyć i zmierzyć. Jak radzi ekspertka, z powodzeniem można wykorzystać centymetr krawiecki, a nawet linijkę, a do ważenia zwyczajną wagę łazienkową. Pomiar powinien uwzględniać długość, szerokość i wysokość paczki; jest to ważne, bo w przypadku przekroczenia dopuszczalnego limitu pojawi się konieczność dopłaty.

FORUM EKONOMICZNE KARPACZ 2021

XXX Forum Ekonomiczne 2021.

Konsorcjum Dolnośląskie liczy na promocję regionu w Europie i świecie

Wrocław od dawna przyciąga inwestorów, poszukujących ciekawej pracy specjalistów, a także studentów, chcących zdobyć nowoczesne wykształcenie, by następnie rozwijać się zawodowo w tym regionie. Konsorcjum Dolnośląskie, które przynajmniej na najbliższe lata zostało współorganizatorem Forum Ekonomicznego liczy, że o dokonaniach regionu i jego możliwościach będzie teraz jeszcze głośniejsze w świecie.

- Forum Ekonomiczne nie bez powodu nazywa się „polskim Davos”. To wyjątkowe na skalę europejską miejsce spotkań i dialogu o współczesnych wyzwaniach, perspektywach rozwoju gospodarczego, bezpieczeństwie i przezwyciężaniu kryzysów. Umieszczenie tak prestiżowej imprezy na Dolnym Śląsku to ogromna promocja regionu w kraju, w Europie i tak naprawdę na całym świecie - mówi Cezary Przybylski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego. - Dolny Śląsk to jeden z najdynamiczniej rozwijających się regionów w całej Unii Europejskiej, który od lat buduje swoją pozycję regionu nowoczesnego, innowacyjnego i otwartego. Jest więc doskonałym miejscem do przeprowadzenia tak prestiżowego wydarzenia, jak Forum Ekonomiczne - dodaje.

Konsorcjum Dolnośląskie wygrało konkurs ofert na organizację Forum Ekonomicznego przez kolejne sześć lat. Karpacz jako miasto gospodarz gości będzie najważniejsze wydarzenia związane z Forum. Wrocław - stolica regionu i doświadczony gospodarz wielu międzynarodowych wydarzeń, tym razem stanowić będzie cenne zaplecze logistyczne

i organizacyjne. Współpracę gwarantują także Port Lotniczy im. Mikołaja Kopernika we Wrocławiu oraz Dolnośląska Agencja Współpracy Gospodarczej.

- Organizacja Forum Ekonomicznego w Karpaczu była kontynuacją współpracy z Instytutem Studiów Wschodnich, podjętej przy Forum Przemysłowym, które odbywa się w Karpaczu od 2015 r. Jest to wydarzenie o mniejszej skali, które pozwoliło nam jednak zdobyć odpowiednie doświadczenie. Ubiegłoroczne przeniesienie do Karpacza tak dużego przedsięwzięcia, jakim jest Forum Ekonomiczne niemalże „w ostatniej chwili” dowodzi, jak stabilnym partnerem jest miasto oraz jakim potencjałem dysponuje. Obok doskonale rozwiniętej bazy konferencyjnej, noclegowej i gastronomicznej należy tu wymienić dostępność komunikacyjną, atrakcyjną lokalizację względem dużych aglomeracji i portów lotniczych (Warszawa, Łódź, Poznań, Katowice, Kraków, Wrocław, Drezno, Berlin, Praga), walory krajobrazowe i krajoznawcze, a także bogate dziedzictwo kulturowe - podkreśla Radosław Jęcek, Burmistrz Karpacza.



Województwo Dolnośląskie zobowiązało się między innymi do opracowania części tematów do dyskusji, które będą się odbywały podczas Forum, a także organizacji koncertu dolnośląskich artystów podczas Gali Forum Ekonomicznego. - Nasze zadanie to także promocja wydarzenia za pomocą różnych kanałów i form: wywiesimy 150 flag reklamowych na latarniach przy wjeździe do Karpacza, za pośrednictwem Biura Województwa w Brukseli prześlemy informacje i zaproszenia dla przedstawicieli zagranicznych regionów partnerskich, najważniejsze dane dotyczące wydarzenia w różnej formie rozpowszechnimy także w naszych instytucjach kultury oraz Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej - mówi Cezary Przybylski.

Przedstawiciele uczestniczących w Konsorcjum trzech samorządów, a także pozostali uczestnicy Konsorcjum przygotowują też - i sami wezmą w nich udział - wiele debat i dyskusji panelowych. - Poprowadzimy m.in. dyskusję na temat przyszłości transportu lotniczego w dobie kryzysu COVID-19, porozmawiamy o tym, jak znowu otworzyć okno na świat i jaka jest przyszłość turystyki postpandemicznej. To dziś ważne i aktualne tematy, którymi żyje branża, ale i cały świat. Panele dyskusyjne w gronie licznych ekspertów i opiniotwórców stanowią wartościową lekcję o współczesnych wyzwaniach, z której możemy wyciągnąć konstruktywne wnioski, niezwykle istotne dla dalszego rozwoju gospodarczego. Liczymy na to, że w tak zna-

komitym gronie uda nam się również przekonać decydentów, że latanie jest bezpieczne - mówi Dariusz Kuś, Prezes Zarządu Portu Lotniczego Wrocław SA.

Okazją do promocji regionu jest największego kalibru. Każdego roku w kolejnych edycjach Forum Ekonomicznego udział bierze około czterech tysięcy uczestników z kilkudziesięciu krajów. W ubiegłych latach gośćmi konferencji były osoby między innymi z Azji czy Ameryki Północnej. Byli to przedstawiciele świata biznesu, nauki czy kultury, międzynarodowi politycy, prezydenci i premierzy państw europejskich, ministrowie czy członkowie Komisji Europejskiej.

- Z VIP-ami przyjadą także osoby towarzyszące i wielu dziennikarzy, chcących relacjonować każdy szczegół z trzech dni konferencji. Może powstać w tym czasie nawet 15 tys. publikacji, które zostaną umieszczone zarówno w mediach tradycyjnych (telewizja, radio, prasa), jak i społecznościowych o krajowym i międzynarodowym zasięgu. W każdym materiale pojawią się informacje o Dolnym Śląsku i Karpaczu, dzięki czemu region zyska świetną promocję i jeszcze szerszą rozpoznawalność, która z pewnością zaowocuje wzrostem zainteresowania wśród przyszłych turystów oraz inwestorów. Wszyscy dowiedzą się, że Dolny Śląsk jest regionem dynamicznie się rozwijającym, pięknym, nowoczesnym i różnorodnym - podsumowuje Cezary Przybylski.

0010199314

Pożegnanie wielkiego turnieju nad Tamizą. Wyjątkowe Euro 2020 przeszło do historii

11 lipca wzrok piłkarskich kibiców na całym świecie był skierowany na Londyn, gdzie rozegrano finał mistrzostw Europy. Mecz elektryzował fanów na całym globie, mając mnóstwo smaczków i podtekstów

Karol Kurzępa, Londyn

Nigdy wcześniej w historii reprezentacja Anglii nie wystąpiła w finale piłkarskich mistrzostw Europy. Mecz przeciwko Włochom na Wembley był dla drużyny Trzech Lwów pierwszym od 55 lat turniejowym starciem o złoty medal. Kibice i dziennikarze w największym kraju Wielkiej Brytanii podkreślali, że niedzielne spotkanie jest sprawą narodową.

Według szacunkowych obliczeń, finał mistrzostw miało śledzić łącznie ponad 44 miliony osób, czyniąc to wydarzenie najchętniej oglądaną transmisją w historii brytyjskiej telewizji. Mecz z Włochami miał przebiec pod względem zainteresowania pogrzb księżnej Diany z 1997 roku (ponad 32 miliony widzów), zeszłoroczne orędzie premiera Borisa Johnsona w sprawie narodowego lockdownu (27,7 mln), czy śledzoną przez 26,9 mln osób relację z lotu załogi Apollo 13 na Księżyc w 1970 roku.

O randze niedzielnej wydarzenia świadczył również fakt, że wiadomość dla angielskich piłkarzy napisała sama królowa Elżbieta II. - Pragnę pogratulować wam dotarcia do finału i złożyć najlepsze życzenia przed meczem. Mam nadzieję, że w historii zapisze się nie tylko wasz sukces jako drużyny, ale zapamiętany zostanie także team z reprezentowania narodu - przekazała zawodnikom najdłużej panująca monarchini Wielkiej Brytanii.

Cisza przed burzą

W przeddzień finału w większości dzielnic Londynu jeszcze nie dało się odczuć atmosfery nadchodzącej konfrontacji. Do wielkich chwil szykowało się strefa kibica na Trafalgar Square, czy miasteczko Euro 2020 zlokalizowane obok Tower Bridge. Przygotowywane były także inne wielkie ekrany, na których mieszkańcy stolicy Zjednoczonego Królestwa mieli zobaczyć mecz.

W niedzielę od rana ze sklepów półek w coraz szybszym tempie znikły piwa i innego rodzaju alkohole. A pracownicy ponad 2000 sklepów



Anglicy kochają piłkę nożną. Mogą o niej rozmawiać godzinami, a każdy mecz reprezentacji na dużym turnieju jest dla nich świętem

sieci Co-op oraz 1600 marek Tesco odliczali godziny do zakończenia zmiany, skróconej przez pracodawców z okazji finału. Część stacji benzynowych zawiesiła działalność pomiędzy 19:45 a 23:00 lokalnego czasu.

To miał być niezapomniany wieczór dla całej Anglii. Złazcza że przedstawiciele mediów zapowiadali, iż premier Boris Johnson bardzo poważnie rozważa oficjalne uczynienie niedziątki dniem wolnym od pracy. Spontanicznie zorganizowane mini-swięto narodowe miało dojść do skutku jedynie w przypadku zdobycia przez Synów Albionu mistrzostwa Europy.

Atmosfera fiesty

Napięcie rosło systematycznie. W całym Londynie można było spotkać kierowców aut trąbiących klaksonami w rytmicznych dźwiękach. Od wczesnych godzin popołudniowych na ulicach pojawiało się coraz więcej kibiców w narodowych barwach z puszkami chmielowego napoju w rękach. Okrzyki „It's coming home” oraz „Come on, England!” można było usłyszeć co chwilę. Napisy o podobnej treści pojawiały się zresztą także na wyświetlaczach ko-

munikacji miejskiej, elektronicznych bilbordach lub przy wjazdach do tuneli. - Znacznie przyjemniej jest czytać takie hasła niż te przypominające o konieczności pozostania bezpiecznie w domach. A przez ostatnich 18 miesięcy widzieliśmy praktycznie tylko takie - zauważa Justyna z Lubelszczyzny, mieszkająca w Anglii od ponad 20 lat.

Z każdą kolejną godziną gromadzące się w różnych miejscach grupy kibiców stawały się coraz większe. Miejsca w pubach były pozajmowane już sześć godzin przed pierwszym gwizdkiem. Szacowano, że w lokalach gastronomicznych, zgodnie z restrykcjami, mecz zobaczy ponad dwa miliony ludzi.

Nie wszyscy potrafili cieszyć się z finału zgodnie z przyjętymi normami. Stacja pociągów na King's Cross St Pancras musiała zostać tymczasowo zamknięta, ponieważ kibice odpalali tam race. Dym w czerwonych barwach pojawiał się także w innych częściach stolicy Wielkiej Brytanii. W północnym Londynie już około południa pijani kibice zaczęli wchodzić na dachy autobusów. Zdarzały się także incydenty, w których potrzebna była inter-

wencja policji. Liczba funkcjonariuszy służb pilnujących porządku przez cały weekend była zapobiegawczo zwiększona.

Wśród kibiców nikt nie myślał o konsekwencjach, jutro właściwie się nie liczyło. Istotne było tylko pierwsze zwycięstwo w międzynarodowych rozgrywkach po ponad półwiecznej przerwie. Londyn czekał na wieczorną eksplozję radości. Ewentualnej porażki Synów Albionu nie brano pod uwagę. Po latach rozczarowań i turniejach straconych szans kolebka futbolu miała wzbogacić się o Puchar Henriego Delaunaya.

- Cieszę się, że dożyłem takiej chwili - mówił przed pierwszym gwizdkiem londyńczyk Godfrey, wieloletni kibic reprezentacji Anglii. - Urodziłem się w roku 1967, kilka miesięcy po tym jak nasza drużyna narodowa wywalczyła mistrzostwo świata. Nigdy nie miałem okazji przeżywać tak istotnego i prestiżowego meczu. Możliwość oglądania finału z moim synem na Wembley to spełnienie marzeń. Jestem mu niezmiernie wdzięczny, że wykupił bilety ponad dwa lata temu - dodawał wzruszony kibic, ubrany w koszulkę z nazwi-

skiem jednego z największych idoli trybun w latach 90, czyli Paula Gascoigne'a. Co ciekawe, popularny „Gazza” jest również fanem Godfreya.

Reszta świata za Włochami?

Nie wszyscy mieszkańcy Anglii trzymali jednak kciuki za reprezentację Trzech Lwów. Tygiel kulturowy panujący w tym 68-milionowym państwie jest na tyle duży, że bez trudu znajdziemy w nim przedstawicieli różnych narodowości oraz potomków imigrantów. - Zawsze kibicowałem Italii, tak jak cała moja rodzina. Nawet pomimo faktu, że urodziłem się w Anglii i nadal tu mieszkam, to przede wszystkim czuję się Włochem. Nie wyobrażam sobie innego scenariusza niż trofeum w rękach piłkarzy „Squadra Azzurra” - tłumaczy Joe Derosa, żyjący na co dzień w Ipswich. 29-latek wspierał drużynę z Półwyspu Apenińskiego z trybun Wembley podczas meczów 1/8 finału oraz półfinału. Na mecz o złoto nie zdołał nabyć biletu.

Fanów piłki nożnej, którzy nie sympatyzują z Synami Albionu było więcej, nie tylko ze względów etnicznych. Reprezentacja prowadzona przez selekcjonera Garetha Southgate'a

nie zjednała sobie miłośników z wielu powodów w trakcie turnieju. Kibice zarzucaли Anglikom rozgrywanie sześciu z siedmiu turniejowych meczów na Wembley, podczas gdy inne zespoły podczas Euro pokonywały dziesiątki tysięcy kilometrów.

Wiele kontrowersji wywoływał także fakt, że na półfinał z Danią na stadion w Londynie zostało wpuszczonych zaledwie osiem tysięcy fanów z kraju Hamleta, przy 50 tysiącach widzów wspierających gospodarzy. Czara gorczy przełamała się, gdy sędzia Danny Makkelie poddyktował dla drużyny Trzech Lwów wątpliwy rzut karny w dogrywce półfinału, a lokalni kibice świecili w twarz duńskiego bramkarza tuż przed wykonaniem „jednastki”. W dodatku, fani skandynawskiej drużyny spotkali się z agresywnymi zachowaniami ze strony Anglików, zarówno na stadionie, jak i poza nim.

- Z różnych powodów Anglikom „zbierało się” przez cały turniej i nadchodzący finał urosł do rangi meczu Anglia kontra reszta Europy - uważa Arek Jargiełło, zapalony polski kibic piłkarski, od 10 lat mieszkający w angielskim Cambridge.

Mimo wszystko, Anglicy otrzymywali także wsparcie zza granicy. Przed finałem powodzenia całej drużynie Trzech Lwów życzył amerykański aktor Tom Cruise, który rozmawiał z piłkarzami przez jedną z aplikacji internetowych. Ponadto dla zespołu przygotowano ekskluzywny pokaz nowego filmu z udziałem Cruise'a. Tytułu produkcji nie zdradzono, aczkolwiek kapitan zespołu Harry Kane przyznał, że pokonanie Włochów w finale na pewno nie jest „Mission Impossible”, a wręcz odwrotnie.

Happy end

Londyn w huczny sposób pożegnał mistrzostwa Europy. Na szczęście obyło się bez deszczowej angielskiej pogody. Misto nad Tamizą nie będzie musiało długo czekać na powrót wielkiego futbolu. Już w połowie sierpnia wznowione zostaną bowiem rozgrywki Premier League, a jesienią rozpoczyna się emocje związane z Ligą Mistrzów. Tytułu bronić będzie londyńska Chelsea. ©

Andrzej Voigt: Oferuję miliony Legii i Warszawie

- Chcę pomóc Legii, ale odbijam się od ściany. W stadion przy Łazienkowskiej fundusz, który reprezentuję jest gotów zainwestować 200 milionów euro. W oczyszczalnię Czajka – miliard! - mówi biznemen.

Rozmawiał Adam Godlewski

Na początek, tytułem przypomnienia: nie jest pan człowiekiem nieznanym w świecie piłkarskim, na początku poprzedniej dekady był pan prezesem Łódzkiego KS...

Namówił mnie wówczas Mirosław Bulzacki, stoper legendarnych Orłów Górskiego. ŁKS miał już wówczas złożony wniosek o upadłość, sytuacja była bardziej niż trudna. Nawet „przeplatanka”, czyli logo typ klubu był zastawiony u komornika. Zastanawiałem się dwa dni, do startu rundy wiosennej pozostawały tylko dwa tygodnie, nie było drużyny... Nie było też grosza w klubowej kasie, o czym przekonałem się organizując sparing z Legią. Mieliliśmy zagrać tercje po 30 minut, ale nie było nawet na pokrycie kosztów dojazdu, które wynosiły 1500 złotych... Za autobus musiałem więc zapłacić z własnego portfela. Z tygodnia na tydzień dostawałem coraz więcej informacji o ukrytych długach, ale sportowo ten zespół się podniósł. W maju zremisowaliśmy z Ruchem, de facto odbierając chorzowianom szansę na tytuł mistrzowski, po który z punktem przewagi na Niebieskimi w roku 2012 sięgnął Śląsk Wrocław. Wraz z Piotrem Świerczewskim, który był menedżerem i Andrzejem Pyrdołem legendą klubu, zbudowaliśmy też fantastyczną atmosferę. Co prawda do utrzymania zabrakło kilka punktów, ale kibice docenili wysiłki. Nawet po spadku nie musiałem po Łodzi chodzić z ochroną.

Rada Nadzorcza była mniej wyrozumiała...

Owszem, ale wcześniej wstrząsnął mną mecz z Zagłębiem Lubin, które również broniło się wtedy przed spadkiem. Na sędziowskiego spotkania pan Zbigniew Przesmycki, szef sędziów PZPN, wyznaczył Marcina Borskiego, który wcześniej pracował w miedziowym koncernie. Mieliliśmy 6 remisów z rzędu, tamto spotkanie także remisowaliśmy do 96 minuty... Wtedy arbitra dał przeciwnikom rzut karny. Po przypadkowym zderzeniu w szesnastce... Na mecz o sześć punktów PZPN przysłał arbitra mającego ewidentny konflikt interesów. Mam nadzieję, że te praktyki w związku już się skończyły... Wtedy poręczyłem osobistym majątkiem za spłatę zaległych skła-

dek do ZUS i Urzędu Skarbowego, dzięki czemu udało się uzyskać warunkową licencję. Następnego dnia odwołano mnie z funkcji prezesa zarządu... W konsekwencji, kilka miesięcy później ŁKS został zdegradowany do 4 ligi, ja z własnego majątku dołożyłem około 600 tysięcy złotych, w formie bezzwrotnej pożyczki.

A jednak chciał pan wrócić do ligowego futbolu. Tym razem do Legii Warszawa.

To prawda, dlatego że na Legię chodzę od 30 lat i mam wielki sentyment do stołecznego klubu. Wyszedłem z założenia, że trzeba wesprzeć pana Dariusza Mioduskiego, bo polityka sprzedawania - żeby spać budżet - każdego piłkarza, który kilkakrotnie zagra w niekonwencjonalny sposób w 32. lidze w Europie jest dla mnie drogą donikąd. Razem z wielkim funduszem inwestycyjnym z Londynu, złożyliśmy ofertę nie tylko wsparcia pośrednio i bezpośrednio klubu Legia Warszawa, ale również rozbudowy - za 100 milionów euro - całej infrastruktury. Łącznie z wybudowaniem hali widowiskowo-sportowej na co najmniej 15 tysięcy widzów, czy zadaniem części tenisowej - i powiększeniem jej o zaplecze hotelowe - która jest mi najbliższa. 20 lat temu byłem prezesem tenisowego klubu CWKS Legia i przyłożyłem w tej roli rękę do ukształtowania Mariusza Fyrstenberga.

Na czym konkretnie miało polegać to wsparcie?

Pan Dariusz Mioduski nie jest zainteresowany zbyciem udziałów. Przed dwoma laty rozmawialiśmy o zakupie akcji, wtedy był gotów za 45 milionów euro oddać pakiet mniejszościowy. Teraz nawet nie wchodzi w grę, właściciel Legii uważa najwyraźniej, że sam sobie poradzi z finansowaniem sportowej spółki. Zresztą, mniejszościowym pakietem w tym momencie my także nie jesteśmy zainteresowani. Przygotowaliśmy zupełnie inną konstrukcję kapitałową. Taką, żeby Legia Warszawa nadal funkcjonowała pod kontrolą pana Mioduskiego i uwzględniającą miasto, jako właściciela obiektu. Złożyliśmy ofertę do magistratu i klubu, opiewającą w sumie na 200 milionów euro. Z przeznaczeniem połowy dla miasta jako zrefundowanie kosztów budowy sta-



Biznesmen Andrzej Voigt reprezentuje duży i wiarygodny kapitał, który chciałby zainwestować nie tylko w polski futbol

dionu, a drugiej - na opisane wyżej inwestycje w infrastrukturę. Zrefinansowanie kosztów budowy stadionu przy Łazienkowskiej z publicznych pieniędzy obliczyliśmy tak, żeby była to kwota wystarczająca na budowę lekkoatletycznego stadionu na Skrze...

Co dzięki waszemu zaangażowaniu zyskałaby Legia?

Klub Legia Warszawa jest użytkownikiem czasowym stadionu, co 10 lat musi przedłużać kontrakt z miastem. I płaci z tego tytułu każdego roku milionowe kwoty właścicielowi za wynajem. Fundusz, który reprezentuję - duży angielski, z kapitałem amerykańskim i australijskim - chciałby przejąć stadion w dzierżawę na 30 lat. I jest skłonny zwolnić Legię z opłaty za użytkowanie, początkowo na przykład na 3-5 lat, co jasno wyartykułowaliśmy panu Mioduskiemu. Czyli klub mógłby dzięki temu zaoszczędzić ponad 25 milionów złotych w tym okresie. I uwolnić te środki na przykład na transfery dobrych zawodników. Już szósty miesiąc czekamy jednak na odpowiedź... Rozumiem, że właściciel Legii ma inne priorytety, skoro nie znalazł czasu na spotkanie z prezesem zarządzającym Funduszu - Davidem Grose. Żeby była pełna jasność - zaproponowaliśmy zawiązanie spółki celowej. Dzięki takiemu rozwiązaniu Legia stałaby się współwłaścicielem stadionu, a zatem gigantycznego majątku. I czerpałaby zyski z działalności komercyjnej obiektu, którego standard podnieśliśmy o wspomniane 100 milio-

nów euro. Kilkakrotnie rozmawiałem z panem Mioduskim, ale nie otrzymałem wiążącej odpowiedzi. Za każdym razem twierdził, że nie bardzo rozumie tę konstrukcję finansową.

Miał pan inne argumenty?

Owszem, i nie ukrywam, iż nie rozumiem, że pan Dariusz nie był zainteresowany - darmowym - wypożyczeniem zawodników z Borussia Dortmund, Bayernu Monachium i PSG, młodzieżowych reprezentantów Niemiec i Francji, co zaoferowałem - jak zakładałem - na początek dobrej współpracy w formie bonusu. Tym 21-latkom trzeba byłoby zapłacić kontrakty, ale wcale niewygórowane, na pewno mieszczące się w budżecie płacowym Legii. Z gwarancją jakości, ponieważ tę grupę inwestorską, którą reprezentuję interesuje gra Legii wyłącznie w Lidze Mistrzów. Regulama.

Jak miasto Warszawa zareagowało na tę ofertę?

Formalne pismo zostało wysłane w listopadzie oczywiście także do prezydenta Rafała Trzaskowskiego. A także do czterech wiceprezydentów i dyrektora magistratu do spraw inwestycji. Oprócz laconicznego komunikatu, że analizują propozycję z izbą rachunkową, nie było jednak konkretnego odzewu. Od pół roku nie doszło do żadnego roboczego spotkania... Dziwi to o tyle, że w tym okresie miasto Warszawa wygrało ostatecznie spór o stadion Skry i środki na tę lekkoatletyczną inwestycję na pewno by się przydały. A przecież po 30 latach stadion

Legii wróciłby do miasta, oczywiście bezkosztowo. Obawiam się, że to nie tylko zła wola, ale i nieznajomość instrumentów finansowych przez urzędników. Fundusz, który reprezentuję złożył bowiem ofertę także na wykupienie oczyszczalni Czajka. Za miliard euro. Miasto Warszawa nie zareagowało i na tę ofertę od pół roku... A przecież za tę kwotę można by sfinansować budowę całej dodatkowej linii metra! Dlatego nie mogę zrozumieć, że stołeczny magistrat nie jest jednak zainteresowany kapitałem, który sam się zgłosił. I to w sytuacji, gdy tej nieszczęsnej Czajki czy stadionu Legii nikt nie wywiezie za granicę. To infrastruktura, która na zawsze pozostanie w stolicy Polski...

Jaki konkretnie fundusz pan reprezentuje?

Londyński fundusz, który zarządza funduszami emerytalnymi, i ma do dyspozycji żywą gotówkę, nie musi oglądać się na linie kredytowe. Na dołatek są to bardzo tanie pieniądze. Ich koszt to 2, maksymalnie 3 procent. W skali roku, nie miesiąca. Polska ma swoje 5 minut, mając rating inwestycyjny AA- według Moody's. Spełnia bowiem wymogi ryzyka tego funduszu, który zarządza publicznymi pieniędzmi. Nie prywatnymi, tylko właśnie publicznymi. Zresztą, jeśli ktoś ma ochotę, może zweryfikować kontrahenta - to Castlepines Global Securities z Londynu - którego reprezentuję. To nie jest trudne.

Pochodzi pan z Wybrzeża, i tam także usiłował pan zainwestować duże zagraniczne środki. Także bezskutecznie. Dlaczego?

Akurat w rozmowach z Lechią Gdańsk reprezentowałem zupełnie inną grupę inwestorską. Równie poważną, na czele której stoi jeden z pięciu najważniejszych menedżerów piłkarskich działających na rynku niemiecko-austriackim. W jej imieniu złożyłem ofertę nabycia większościowego pakietu Lechii Gdańsk. Z intencją, żeby grać co najmniej w Lidze Europy. Przede wszystkim jednak z gwarancją inwestycji 50 milionów euro w zespół - czyli de facto w transfery - w ciągu dwóch sezonów. Po 4 dniach otrzymaliśmy odpowiedź, że obecny właściciel Lechii nie jest zainteresowany zbyciem aktywów. Zarząd gdańskiego klubu nie podał nawet kwoty, od jakiej

skłonny byłby podjąć negocjacje... W tym przypadku reprezentowałem konsorcjum brytyjsko-amerykańskie. Takie, która posiada kluby w NBA, NFL i jeden z największych klubów Premier League. Ten z Manchesteru...

Dlaczego i w Gdańsku napotkał pan na opór materii?

Zdaje się, że właściciele polskich klubów piłkarskich lubią władzę. I wolą tę naszą mizerię, marny poziom sportowy i kilkunastokrotnie mniejsze budżety i wartość zespołów niż ma na przykład Villarreal, mający siedzibę w 51-tysięcznym mieście. My mamy piękne nowoczesne stadiony, i zero pomysłu na ich wykorzystanie. Ba, nie ma nawet chęci na skonsumowanie poważnego kapitału, który sam się o to prosi...

Sądzi pan, że po wyborach w PZPN może być łatwiej rozruszać nasz futbol?

Ze Zbigniewem Bońkiem rozmawiałem kiedyś podczas meczu Lechii z Legią na temat umiejscowienia PZPN w polskim futbolu. Długo. I do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego przez 9 lat nie poprawił obowiązującej konstrukcji, skoro obecna jest niewydolna, w naszej piłce. Kluby są niedoinwestowane, a młodzież nie jest szkolona według najnowszych standardów. To ogromne, niedopuszczalne zaniedbanie. Cezary Kulesza znakomicie zna klubowe realia, w Jagiellonii osiągnął bardzo dobre wyniki, biorąc pod uwagę, że to niewielki klub ze średniego miasta. Zażalenie Jagi jest bardzo niewielkie, w przeciwieństwie do Legii, której długi sięgają około 160 milionów złotych, jaki wynika z dostępnych publicznie raportów. W Białymstoku jest też świetna akademie. Dlatego mam nadzieję, że pan Kulesza poprowadzi PZPN drogą, którą przerobił w Jagiellonii. Nowy zarząd PZPN musi wziąć odpowiedzialność za szkolenie, a samorządy powinny przysłać zdyskontować modę na inwestycje w Polską infrastrukturę sportową, która zapanaowała w mającej dużą kapitałową nadwyżkę w Wielkiej Brytanii. I jak odzyskać publiczne środki, zamrożone w tych publicznych inwestycjach. W przeciwnym wypadku moda na nas nie będzie trwała na Wyspach dłużej niż 5 minut...

**Surówki**

Milena Kochanowska
m.kochanowska@glos.com

Nie ma takiej pory roku, w której nie udałoby się skomponować smacznych surówek. To znakomite, a przede wszystkim zdrowe, przekąski, przystawki lub dodatki do dań głównych. Są źródłem tak bardzo nam potrzebnych witamin i składników mineralnych. Lato sprzyja ich tworzeniu wyjątkowo, a więc do dzieła!

Do ich przygotowania możemy wykorzystać same warzywa, albo też przyrządzić mix warzywno-owocowy. Istotne jest również to, że zazwyczaj przygotowanie surówki nie zajmuje nam wiele czasu, dlatego zanim kupimy gotową w sklepie, zastanówmy się, czy na pewno warto.

Oczywiście te kupione, o ile są świeże, nie są złe i nie raz możemy się nimi wesprzeć przy przygotowaniu obiadu, ale przyjmijmy przynajmniej taką zasadę, że nie robimy tego zawsze. Dziś kilka super prostych i szybkich przepisów. Do niektórych z nich, by ożywić ich smak, używamy niewielką ilość majonezu, który jak wiadomo zdrowy nie jest. Możemy jednak zrobić go w domu sami lub zamienić go na łyżkę oliwy i sok z połowy cytryny oraz rozmaite świeże zioła, które także wzbogacą smak surówki.

Pamiętajmy, że jabłka lub gruszeki, które są częstym składnikiem surówek dodajemy do nich na końcu i szybko skrapiamy cytryną lub mieszamy z sosem vinegret lub majonezowym, by nie ściemniały.

Te niewielkie dania doskonale uczą nas w kuchni łączenia smaków i fantazji. W sezonie w owocach i warzywach możemy zaś przebierać.

W LETNIE DNI ZAJADAJMY SIĘ SURÓWKAMI

Pełne witamin i proste w przygotowaniu. Bez trudu zrobimy je sami

SURÓWKA Z BURAKÓW I JABŁKA

Surowe lub lekko podgotowane buraki (2-3 większe) ścieramy na tarce o dużych oczkach. Dodajemy 2 starte jabłka. 1 cebulę i 2-3 ząbki czosnku drobno szatkujemy i wrzucamy do buraków. Całość skrapiamy oliwą i sokiem z połowy cytryny. Możemy też dodać świeże oregano lub bazylkę.

SURÓWKA Z KAPUSTY PEKIŃSKIEJ

Niewielką kapustę pekińską dokładnie myjemy i szatkujemy (bez głąba). Na tarce o dużych oczkach ścieramy 2-3 jabłka i dodajemy je do miski z kapustą. Całość mieszamy z dwoma łyżkami majonezu zmieszanego z jogurtem naturalnym. Przyprawiamy solą i pieprzem do smaku (możemy też użyć pieprzu cytrynowy). Posypujemy odsączonymi i przepłukanymi marynowanymi kaparami (słoiczek lub pół, wedle uznania). Kto nie lubi kaparów, może surówkę posypać orzechami włoskimi.

SURÓWKA Z MARCHWI Z JOGURTEM I CHRZANEM

3-5 średniej wielkości surowe marchewki ścieramy na tarce o dużych oczkach, dodajemy 2 starte jabłka i doprawiamy jogurtem naturalnym z łyżeczką majonezu lub chrzanu.

SURÓWKA Z MARCHWI I KISZONEJ KAPUSTY

3 średniej wielkości surowe marchewki i 2 jabłka ścieramy oraz dodajemy do połowy kilograma kiszonej, nie za kwaśnej, kapusty. Mieszmamy, skrapiamy oliwą, doprawiamy solą i pieprzem.

SURÓWKA Z PORA I BIAŁEJ KAPUSTY

3 pory obieramy, myjemy, polewamy wrzątkiem i osuszamy. Kroimy je w drobne plasterki i dodajemy do połowy niewielkiej główki poszatkwanej białej kapusty. Ścieramy dwa jabłka i szybko mieszamy całość z dwoma łyżkami majonezu lub sokiem z cytryny.

SURÓWKA Z SELERA Z OWOCEMI

Średniej wielkości obrany seler ścieramy na tarce o dużych oczkach, dodajemy dwa starte jabłka i skrapiamy sokiem z cytryny. Do małego jogurtu naturalnego dodajemy łyżeczkę majonezu i mieszamy ze startą masą. Ta najprostsza wersja surówki może być wzbogacona o rodzynki, winogrona lub drobno pokrojoną brzoskwinie lub nektarynkę (obrane ze skórki), albo podana z utartą marchwią (dwie średnie marchewki wystarczą).

SURÓWKA Z PAPRYKI

Dwie różnokolorowe papryki kroimy w kostkę, dodajemy do nich tak samo pokrojony zielony ogórek i poszatkwaną czerwoną cebulę oraz dwa/trzy ząbki czosnku. Pokrojone warzywa wrzucamy do miski z liśćmi sałaty (takiej odmiany, jaką lubimy). Dodajemy garść oliwek. Skrapiamy oliwą i sokiem z cytryny lub robimy swój winegret (według smaku). Podajemy posypane startym na długie pasma kozim serem i posypane oregano.

SURÓWKA Z SAŁATY

Powinniśmy mieć do niej co najmniej dwa rodzaje sałaty: masłową, kruchą, lollo, radicchio lub dębolistną łączymy z roszponką, a jeśli lubimy jej bardziej pikantny smak - również z rukolą. Umyte liski rwiemy do miski, a do nich wrzucamy kilkanaście czarnych oliwek bez pestek. Całość mieszamy z oliwą i sokiem z całej cytryny. Tę wersję surówki możemy wzbogacić jedną drobno pokrojoną czerwoną papryką i 1 także drobno pokrojonym zielonym ogórkiem (najlepiej gruntowym).

